

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 30 września 1945 r.

Nr 44

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

Pierwszy ogólnopolski zjazd literatów

Pierwszy ogólnopolski zjazd pisarzy, który się odbył w Krakowie w dniach 30. VIII — 2. IX., nie miał być tylko jeszcze jednym przejawem organizacyjnym życia literackiego. Chociaż Związek Literatów jest normalnym związkiem zawodowym, to jednak powaga trudu pisarskiego, jego funkcja społeczna wyróżniają go spośród innych organizacji zawodowych. Sztuka a przede wszystkim literatura posiada w państwie demokratycznym ważną rolę do spełnienia i zajmuje jedno z pierwszych miejsc w hierarchii wartości. Wychowywanie człowieka, ukazywanie mu perspektyw rozwojowych, wdrażanie do doznawania wzruszeń kulturalnych, organizowanie wrażliwości moralnej, uświadamianie obowiązków społecznych — oto niektóre z zadań stojących przed pisarzem. Bez świadomej swej roli literatury nie do pomyślenia jest życie narodu w nowoczesnym państwie demokratycznym. Pisarz jest w społeczeństwie sercem, które bije najgłośniej i czuje najspowiedliwiej oraz mózgiem, który najwnikliwiej myśli.

Wagę tego zjazdu podnosi fakt, że jest on pierwszą po tej straszliwej wojnie próbą rozrachunku spraw przez sześć lat w społeczeństwie przemierzanych. To wszystko, co w samotnym myśleniu nas wszystkich dojrzało, co gnębiło, wprowadzało w rozpacz, budziło nadzieję — miało być po raz pierwszy nazwane i rozstrząsane publicznie. Gdyż jednym z najważniejszych celów zjazdu pisarzy było właśnie ukazanie drogi wspólnie przebytej i konsekwencji moralnych z wojny wynikających.

Wojna miniona przez zaabsorbowanie całej uwagi człowieka sprawami o wadze takiej jak życie i śmierć, wyrażała wagę spraw humanistycznych i ukazała jednocześnie proces rozkładu wartości, które za niezniszczalne dla wielu uchodziły. Światopoglądy na irracjonalizm wiary czy chociażby nadziei zbudowane okazały się na działania wojenne równie nieodporne jak schrony piwniczne czy skomplikowane systemy „wałów” obronnych. Spalone miasta, strątowane ziemie, wielomilionowy ubytek ludzkości, zrujnowane warunki materialnego istnienia postawiły przed naszymi oczami, mózgiem i sercem już nie przykazanie lecz obowiązek miłości człowieka. Miłości nie platonicznej i nie ewangelicznej tylko, gdyż idealistyczny mit człowieka sformułowany w systematach filozoficznych i religijnych nie przetrzymał próby koncentracyjnych obozów.

Sprawa kultury była w tej wojnie zagrożona jak nigdy przedtem. Narzędzia fizycznej zagłady posiadały taką siłę działania, że nie oparłaby się jej żadna wiara w człowieka. Ocalenie kultury stało się możliwe jedynie dzięki nieprawdopodobnej zdolności do poświęcenia i złożeniu ofiary śmierci przez miliony ludzi.

Wyszliśmy z tej wojny zrujnowani straszliwym doświadczeniem, że nic nie dzieje się w oderwaniu, że każdy nasz czyn powoduje inny, że musimy być świadomi nie tylko słów i myśli, lecz nawet gestów.

To poczucie odpowiedzialności, jakie ciąży na literaturze, sprawiło, że z niepokojem oczekiwaliśmy zjazdu. Czy pisarze wyszli z tej wojny, w której brali przecież udział bronią, piórem i milczeniem, niepokonani czy też osłabieni? Czy zdają sobie sprawę z powagi trudu, jaki im przyjdzie podjąć? Niektórzy stanowiska swoje już zajęli. Bezpośrednio w wywiadach publicystycznych, czy w utworach artystycznych już opublikowanych przemówili tak jak im sumienie nakazywało. Jedni tak, jak spodziewaliśmy się, że powinni byli przemówić, inni przedwcześnie, z nieufnością do własnego powołania. Lecz oczekiwaliśmy, że zjazd rozjaśni i zespoli ideowo tych, od których przecież zależy moralne zdrowie narodu. Bo właśnie dziś stanowisko, jakie zajmą pisarze, ma wpływ na światopogląd całego społeczeństwa, na jego zdolność do regeneracji.

Jedno jest pewne, że etyka pisarska wyszła z tej wojny niezłamana. Tych kilku, którzy się zhańbili współpracą z okupantem, zostało ze społeczności wykluczonych. Wszyscy pisarze byli w tej wojnie aktywni na tym samym froncie. „Milczeniem utrwalali naród w opozycji, udziałem w pracy konspiracyjnej wzbudzały nadzieję wolności, tworzeniem samotnym i skrytym przedłużali w kulturze na-

szego istnienie niepodległe” (z przemówienia inauguracyjnego J. Przybosia).

Zjazd literatów sprawom ideologicznym poświęcił przede wszystkim uwagę. Referaty wygłoszone przez M. Jastruna, A. Polewkę, J. Przybosia i A. Ważyka, dyskusja wokół zagadnień tam omówionych oraz zgłoszone wnioski ideologiczne dotyczyły spraw najżywej obchodzących ogół.

Zagadnienie, wokół którego ześrodkowały się obrady ideologiczne, można by przedstawić w formie pozornie nieprawdopodobnego pytania: czy wojna miniona miała przełomowe znaczenie światopoglądowe?

Chociaż może się to wydawać nieporozumieniem, takie sformułowanie problemów na zjeździe omawianych jest jednak możliwe. Bo jakże inaczej można wyrazić wątpliwość, jaka uwidoczniła się w wypowiedziach części pisarzy, którzy uznając konieczność wysnuć ideowych konsekwencji z katastrofy wojennej, wzbraniają się konsekwencje te określić?

A. Ważyk bez niedomówień przedstawił rozwój ideologii kulturalnych Europy międzywojennej (i ich odcinka polskiego), ideologii, których cechą rozpoznawczą było „oderwanie od życia”. Właśnie wojna była tego rozwoju ostatnim ogniewem. Oderwanie od życia musiało się zakończyć śmiertelnie.

„Nie wszyscy zdajemy sobie sprawę z tego, jak głęboko ta wojna przetrząsnęła świat idei. Jeszcze spory, które się toczą na łamach czasopism, jeszcze argumenty i pojęcia, którymi operujemy, świadczą o pewnym zamieszaniu, które jednak ustąpi z umysłów. Wynoszenie się tych sił witalnych, wiara w twórcze wartości intuicji, przeciwstawianie się rozumowi ludzkiemu, to wszystko może jeszcze pokutować w umysłach inteligencji siłą opóźnienia, zwyciężone historycznie. To wszystko zasiało faszyzm. Nic z tego nie może zasiać myśli i twórczości pisarza naszej epoki. Wszelkie irracjonalne koncepcje przeżyły się i jeśli jakikolwiek pisarz chce na nich budować, to da tylko dowód, że nie przyjął elementarnej nauki tej wojny. A jednej rzeczy społeczeństwo ma prawo domagać się od pisarza: aby nie przespał tej wojny, zbyt wiele ofiar na to poszło. W pewnych prądach literackich przed wojną, w pewnych koncepcjach literackich dominującą rolę grał podział na świadomość i podświadomość, wywodzący się z pomysłów psychoanalitycznych. Taka koncepcja człowieka nie wytrzymała krytyki. Nie wytrzymała krytyki pocisków dział i czołgów. Skoro ludzkość musiała wykonać śmiertelny wysiłek, aby zwalczyć faszyzm, skoro świadomość, o co się walczy, prowadziła do bohaterstwa, skoro bohaterstwo odzyskało swój sens, odzyskać musiała swoją zachwianą pozycję świadomości ludzka. Muszą więc ulec zmianie literackie koncepcje człowieka. Chęć odwoływania się do podświadomości okazała się bardzo lekkomyślna. I u nas i na całym świecie pisarze stracili do niej zaufanie. Mogłbym wymienić dziesiątki innych koncepcji, do których straciliśmy zaufanie. Ośmieliłbym się powiedzieć, że jesteśmy na progu znacznie szerszego przełomu, który ogarnia i myśl społeczną i narodową, że nastąpił kryzys wszelkich systemów idealistycznego myślenia”.

Ten proces światopoglądowy okresu międzywojennego i spadek myślowy, jaki nam po nim pozostał, był osnową wymiany poglądów pisarzy na zjeździe. J. N. Miller, J. Kornacki, St. Otwinowski, A. Polewka, J. Putrament i K. Wyka z różnych stron zagadnienie centralne oświetliły, lecz wszyscy — i tę jednolitość wbrew pozornym sprzecznościom należy podkreślić — widzieli jedyną bazę moralną w humanizmie. Człowiek, który znalazł się nad przepaścią, winien odzyskać należne mu główne miejsce w świadomości i realizacjach kulturalnych. „Oderwanie od życia”, które doprowadziło do faszyzmu i jego wszystkich antyhumanistycznych przejawów jak rasizm, antysemityzm i inne, na irracjonalizm oparte skrzywienia myśli ludzkiej, osądzone zostało w tej wojnie. Powrót do człowieka dokonąć się może przez uznanie ważności społecznej za jedyną wartość rzeczywistą i twórczą. Wszyscy pisarze (co znalazło swój wyraz w deklaracji ideowej) pojmują swoją misję społeczną. Literatura nowa, literatura w pełni humanistyczna musi mieć przede wszystkim wartość społeczną.

Ten obowiązek wspólny zrozumiany został i podniesiony na zjeździe przez wszystkich pisarzy. I to bez względu na to, czy przyjmują oni następstwa ideologiczne tej wojny, czy też uznają tylko konieczność poszukiwania dróg wyjścia ze zniszczenia podstaw kultury.

Wacław Borowy, który występując przeciw „simplifikowaniu spraw skomplikowanych” wskazuje na katolicyzm jako na światopogląd odbudowy człowieka, równie wyraźnie jak ci pisarze, którzy za konsekwencje wynikające z tej wojny uznają antyidealizm i materializm, gdyż tylko on może ukazać człowieka w świadomości jego losu na ziemi — widzi w odpowiedzialności moralnej za słowo i czyn najwyższą wartość społeczną pisarza.

Literatura okresu międzywojennego, i to jest oczywiste mimo opozycji estetycznej na zjeździe, nie spełniała funkcji swoich w społeczeństwie. M. Jastrun, J. Kott i A. Polewka wypowiedzieli oskarżenie, które wywołało pewne nieporozumienie. Lecz przecież sądowi, iż „nasza mizerna literatura po śmierci Zeromskiego, literatura, która nie przygotowała nas do niczego, to okres literackich igraszek” (A. Polewka) nie powinno być przeciwstawione stanowisko estetyczne. W dyskusji wokół tego zagadnienia ujawniła się niechęć do wysnuć całej wiedzy z doświadczeń tej wojny. Niechęć trudna do usprawiedliwienia, chociaż łatwa, wydaje mi się, do przewyciężenia.

Na zjeździe, jeśli był moment zenujący to właśnie wtedy, kiedy chodziło o ocenę literatury dwudziestolecia. Oskarżenie jej o nieprzydatność i małość społeczną wywołało tak liczne sprzeciwy, że przez podniesienie rąk oskarżenie uchylono. Mimo tego przychylnego dla literatury dwudziestolecia wyniku głosowania nie wydaje się, by mogło być ono wiążące i decydujące raz na zawsze o naszym do niej stosunku. Ten wynik głosowania świadczy jedynie o pewnej elegancji, ale o niczym ponadto.

Te dobre ze względu na ich wartość estetyczną książki, jakie się w okresie międzywojennym ukazały, świadczą tym bardziej przeciw pisarzom; którzy mogli stworzyć dzieła o nieprzemijającej wartości społecznej. Wtedy, kiedy politycy kłamali, właśnie pisarz winien był mówić prawdę i przygotować naród do wielkiej próby go oczekującej, a nie w najlepszym wypadku manifestować tylko.

To stanowisko estetyzujące tym większe budzi obawy o przyszłość literatury dzisiaj, kiedy wartość moralna jest jedyną miarą obowiązującą. I tym większe zastrzeżenie wzbudzać musi efektywne powiedzenie J. Iwaszkiewicza („wieże z kości słoniowej mogą być również pomalowane na czerwono”), że wyraża ono najbardziej bezwyjściowe stanowisko estetyczne okresu międzywojennego: pesymizm kulturalny.

Dzisiaj, kiedy obowiązującym sprawdzianem literatury jest jej ważność społeczna, uświadomienie sobie skali wartości jest niezbędne. Skala ta jest tak wielka, że ogarnie wszystkie odrębne upodobania i gusty artystyczne z tym jednak zastrzeżeniem, by wynikały z postępowej ideologii. J. Przyboś sformułował to w sposób, który nie wzbudził zastrzeżeń na zjeździe pisarzy w referacie o sztuce narodowej:

„Jest jedna tylko droga do sztuki istotnie narodowej tj. do sztuki o najwyższym światowym poziomie. Nie oglądać się wstecz, nie naśladować ani stylów ani form rzekomo rodzimych, i nie stylizując na wzór prymitywów ludowych — tworzyć. Nie zamykając się w zaściankowych zagadnieniach i formach — tworzyć na najwyższych, najbardziej postępowych osiągnięciach współczesności. Spór na temat, czy wielka sztuka jest z natury swojej też ideologicznie postępową — zdaje się — rozstrzygnięto pozytywnie. Że wielki pisarz zawsze jakoś był nosicielem postępowych idei społecznych, a nigdy zofanec nie był wielkim pisarzem (niezależnie wbrew swoim poglądom politycznym). Jak tworzyć? W którą stronę mieć zwrócone oczy, by nie naśladować, lecz brać przykład i pobudkę? Krajem o najbardziej postępowej ideologii jest Związek Radziecki. Na przemiany twórcze tego kraju winny być zwrócone uważne spojrzenia pisarza nie po

to, by wzorować się na współczesnej literaturze sowieckiej, lecz by unikając jej błędów przejąć się społeczną odpowiedzialnością za słowo pisarskie. To poczucie społecznej doniosłości naszego zawodu w połączeniu z precyzją i świetnością artystyczną literatur zachodnio-europejskich, w szczególności francuskiej — może stworzyć grunt pod wzniesienie nowego odkrywczo-piśmiennictwa polskiego. Twórzmy na najnowszych, najbardziej postępowych prądach historii; z osiągniętych już, najdalszych, najbardziej twórczych form rozwijajmy własne tj. wyższe i przez to narodowe czyli znaczące między narodami, a więc i międzynarodowe”.

Pomimo sprzeczności ideologicznych, jakie uwidoczniły się na zjeździe, pisarze polscy mieszczą się światopoglądowo wszyscy razem w ramach szerokiego humanizmu. I nowy humanizm i ten stary — idealistyczny przyjmują wspólną bazę porozumienia, którą tworzą: walka z faszyzmem i świadoma miłość człowieka. W tym miejscu schodzą się stanowiska wszystkich bez względu na to, czy tę wojnę przewyciężyli moralnie i ujrzeni konsekwencje światopoglądowe, czy też ją tylko przetrwali. Wspólna deklaracja ideowa Związku Zawodowego Literatów uchwalona na zjeździe te zasadnicze prawdy wyraża:

„My, pisarze polscy, zgromadzeni na pierwszym zjeździe w wyzwolonej, niepodległej i demokratycznej Polsce, w szóstą rocznicę wybuchu wojny, składamy hołd bohaterom, którzy przelałi krew na wszystkich frontach walki z faszyzmem.

Głęboko jesteśmy przeświadczeni, że tylko całkowite powalenie faszyzmu, który niósł zagładę kulturze świata, otwiera nową, lepszą epokę w dziejach ludzkości i ratuje dobro kultury od zniszczenia.

W sojuszu twórczej polskiej myśli z mocami postępu i demokracji, które podjęły ciężar przebudowy świata, pragniemy, aby słowo „ludzkość” istotnie zawierało w sobie najszlachetniejsze człowiecze wartości. Biorąc rozbrat z ideami wstecznictwa, oparci o najlepsze tradycje polskiej i europejskiej myśli humanistycznej, pragniemy również, aby pióra nasze sprostały przetworzeniu w artystyczny kształt wszystkich dążeń i prądów naszego Odrodzonego Narodu i Odrodzonej Ludzkości.

Postanawiamy twórczością naszą współdziałać przy kształtowaniu takiej psychiki nowego człowieka, aby stanowiła ona gwarancję, że zbrodnie straszliwej wojny nie powtórzą się już nigdy.

Jesteśmy przekonani, że pogłębienie stosunku naszego do zagadnień społecznych i kulturalnych pozwoli nam na rozszerzenie zasięgu naszego dzieła. Wierzymy, że tą drogą literatura przeniknie do mas, nie tylko nie obniżona w swoim poziomie, lecz realizująca swoje najwyższe możliwości. W szczególności kładziemy nacisk na odbudowę moralnych podstaw społeczeństwa i uważamy wysoki poziom etyczny twórczości literackiej za najbardziej akcentowany przez nas postulat.

Wierzymy, że odtąd rozpocznie się nowy etap odrodzonej literatury polskiej, dążącej do wielkości poprzez służbę dla Narodu i dla Człowieka”.

Obrady odnoszące się do spraw ściśle zawodowych dotyczyły przede wszystkim uchwalenia nowego statutu, przedyskutowania wniosków o charakterze doradczym oraz wyboru nowych władz Związku.

Nowa rola społeczna pisarza w Polsce demokratycznej stwarza dlań nowe warunki pracy i egzystencji. Także Związek Zawodowy Literatów Polskich zmienia swój charakter. Jeśli przed wojną ZZLP był zrzeszeniem samopomocowym i towarzyskim, to obecnie staje się związkiem zawodowym w pełnym tego słowa znaczeniu. Zmiany w statucie mają na celu podniesienie autorytetu pisarza w społeczeństwie. Zmiany te wprowadzają wyraźne sprecyzowanie charakteru organizacji, jej celów, sposobu przyjmowania członków oraz obowiązków społecznych ciążących na związku jako całości. Obostrzono system przyjmowania członków rzeczywistych oraz wprowadzono stopień „kandydata”, który korzysta z opieki zawodowej i materialnej, lecz nie posiada czynnych praw członka Związku. Celem szerzenia kultury artystycznej powołano Insty-

tucje klubów literackich, które pozostają pod opieką członków Związku mają za zadanie kształcić młode pokolenie pisarzy.

Związek Zawodowy Literatów Polskich wzięł na siebie zadanie współpracy z innymi organizacjami o charakterze kulturalno-społecznym, przede wszystkim z istniejącą przy Związku Samopomocą Chłopskiej grupą pisarzy chłopskich, co będzie miało duże znaczenie dla rozwoju kulturalnego wsi.

Wśród wniosków o charakterze doraźnym uchwalono między innymi:

wniosek domagający się wzmoczenia ruchu wydawniczego w Polsce;

wniosek postulujący „pełną wolność słowa w granicach nie naruszających podstaw ustroju demokratycznego walczącego z faszyzmem“;

wniosek o upowszechnienie sztuki;

wniosek domagający się nawiązania stosunków kulturalnych z Zachodem (Francja, Anglia, Ameryka) oraz umożliwienia sprowadzania książek i czasopism zagranicznych, których brak odbija się niekorzystnie na poziomie naszego życia umysłowego;

wniosek żądający przeprowadzenia ustawy bibliotecznej i naprawienia w ten sposób błędów polityki kulturalnej rządów przedwrześniowych. Wniosek ten pisarze, reprezentujący Związek w Krajowej Radzie Narodowej podjęli się na najbliższej sesji do obrad zgłosić;

wniosek krytykujący działalność Ministerstwa Informacji i Propagandy za poziom publikacji wydawanych przez urzędy informacji i propagandy.

Wreszcie wniosek, którego uchwalenie budzi pewne zastrzeżenia: żądanie opodatkowania wydawców dzieł pisarzy, których prawa autorskie wygasły w celu stworzenia „Skarbu Narodowego Kultury“, jest przecież połowicznym społecznie załatwieniem ważnej sprawy. Uspokojenie wartości kulturalnych nie może być mniejsze niż innych bogactw narodowych. Nie wydaje się słuszne, by prawa, które wygasły dla autora, pozostawały w posiadaniu prywatnego wydawcy. Upaństwowienie praw wygasłych wydaje się jedynie sprawiedliwym społecznie rozwiązaniem.

Uchwalono ponadto wnioski ściśle zawodowe, m. in.: w sprawie nowelizacji prawa autorskiego z dn. 29. III. 1926 i ustalenia stosunku do zagadnień prawa autorskiego międzynarodowego (powołano pięcioosobową komisję prawniczą, która w ciągu miesiąca opracuje zespół zagadnień prawa autorskiego); w sprawie polepszenia sytuacji materialnej pisarzy Związek domaga się utworzenia specjalnej komisji złożonej z reprezentantów Ministerstwa Kultury i Sztuki oraz literatów, która badałaby stale sytuację materialną pisarzy; w sprawie odnowienia umowy z Polskim Radiem, i in.

Zjazd literatów przekazał Zarządowi Głównemu do rozpatrzenia szereg wniosków ogólnych i szczegółowo-gospodarczych. Wśród nich zwracają uwagę: wniosek o powołanie Instytutu Badania Życia Literackiego w Polsce przy ZZLP oraz wniosek o ustalenie listy pisarzy zasłużonych w walce z faszystowskim okupantem.

W wyniku wyborów ukonstytuował się nowy Zarząd Główny. Na miejsce ustępującego prezesa Zarządu Tymczasowego, Juliana Przybosa, prezesem ZZLP został Jarosław Iwaszkiewicz. Na miejsce ustępujących członków Tymczasowego Zarządu Głównego, H. Boguszewskiej, M. Jastruna, J. Kornackiego, Z. Nałkowskiej, J. Putramenta i A. Ważyka do Zarządu Głównego weszli: T. Breza, St. R. Dobrowolski, M. Jastrun, E. Kozikowski, St. Pięta i A. Polewka. Dokonano wyborów stałej Komisji Kwalifikacyjnej, Sądu Koleżeńskiego, Komisji Rewizyjnej i Nadzwyczajnej Komisji Kwalifikacyjnej (dla zbadania kwalifikacji zawodowych wszystkich członków).

Wysoki poziom, jaki cechował obrady, nie uchronił zjazdu od zgryzoty, którego nawet efektowne przemówienie nowego prezesa nie przytłumiło. Odrzucenie wniosku domagającego się rewizji uchwały Akademii Umiejętności w sprawie wyróżniającego przyjęcia w jej poczet profesorów, których opinia publiczna nie uważa za godnych takiego wyróżnienia, osłabiło ten autorytet i siłę moralną, jakie pisarz polski swoim bezkompromisowym stanowiskiem w okresie okupacji w społeczeństwie zdobył. Pisarze, którzy dali przykład godności i siły charakteru (tych kilku, którzy się współpracą z okupantem zhańbili z grona swego wykluczali) mają wszelkie podstawy moralne do tego, by głos ich, jak głos sumienia narodowego był słuchany. I właśnie dzisiaj tym bardziej, kiedy milczenie przestało już być funkcją społeczną.

Zbigniew Bienkowski

WANDA TELAKOWSKA

O udział plastyki w życiu gospodarczym kraju

Właściwie pobudzona i zorganizowana twórczość w zakresie plastyki może wydatnie współdziałać w uaktywnianiu naszego życia gospodarczego.

Wiadomo, że piękno uwielokrotnia wartość przedmiotów, może być podstawą eksportu, może równoważyć bilans handlowy.

Znane są fakty sukcesów gospodarczych Francji, która od kilkuset lat eksportowała meble, dywany, tkaniny, stroje, galanterię. Francuski dobry smak, ów „gust“ ściągając do Francji miliardy, zdobywał najodleglejsze rynki zbytu.

Piękność architektury i malarstwa Włoch jak magnes skąpiła w tym kraju turystów całego świata. Dzięki twórczości artystów — zarabiali później liczni pracownicy, związani z branżą turystyczno-hotelarską.

Kunstgewerbschule w Wiedniu i związana z nią Wienerwerkstätte w krótkim czasie uaktywniły tak swą inwencją drobny przemysł i rzemiosło w zakresie galanterii, strojów, wyrobów ze skóry, iż zdobywając popularność dotarły zasięgiem wpływów daleko poza granice Austrii.

Przykładów rentowności piękna można by cytować wiele, tym bardziej, że nie jest to wynalazek nowoczesny — przecież już wtwórne piękno waz greckich ściągало kapitały z obcych stron do ojczyzny Peryklesa.

Przykładów tych jest wiele, zwłaszcza w krajach, gdzie talent, rozum i praca dochodzą części do głosu niż brawura, dojrztwo i ospałość.

Natomiast przykładów zaprzepaszczenia produkcji z winy jej niskiego poziomu estetycznego, bezmyślnego powtarzania zużytych już form mamy u nas nazbyt wiele.

Np. przed rokiem 1914 warsztaty koszykarskie w Rudniku nad Sanem prosperowały dobrze, podobno było ich aż kilka tysięcy. Wagonami eksportowano koszykowe meble, zabawki, sprzęty.

Z chwilą gdy wymagania estetyczne odbiorców wzrosły, a producenci w Rudniku bezmyślnie powtarzali niemożliwe już modele — rynki zbytu zaczęły się kurczyć — aż doszło do tego, iż Polska zaczęła eksportować wikliny — surowiec koszykarski do Czechosłowacji, a w Rudniku nad Sanem pojawiło się groźne bezrobocie.

Takich przykładów nonsensów gospodarczych, wynikających z braku zrozumienia wartości estetycznych w produkcji, można by cytować wiele. Wystarczy wspomnieć galanterię alabastrową, produkowaną przez chałupników w okolicach Żórawna, pseudoludowe wytwórnie potwornych kilimów na Huculszczyźnie, pamiętkarstwo w Zakopanem, dewocjonalia itd.

Tylko w bardzo krótkowzrocznej kampanii tandeta się oplaca, i to raczej jednostkom. Przy projektach gospodarczych obliczonych na dłuższą falę — w kalkulacji musi być należycie doceniony i czynnik estetyczny.

Podstawowym jednak nonsensem gospodarczym był fakt, iż za państwowe i społeczne pieniądze szkoliło się utalentowanych artystów, by później obywać się bez nich a tracić wielkie sumy na sprowadzanie z zagranicy modeli, wzorów, żurnali, przedmiotów zwłaszcza z zakresu produkcji sprzętów, ubrań, galanterii itp. — przedmiotów, które równie dobrze lub lepiej mogły być wyprodukowane w kraju.

Wielkie sumy szły z Polski do Paryża za przedmioty przemysłu odzieżowego (suknie, drobiazgi toaletowe, kapelusze, żurnale), Wiedeń pochłaniał nasz pieniądź w zamian za trykotażę i galanterię. Czechosłowacja zarabiała na nas dostarczając taniej biżuterii, szkła, zabawek. Z Niemiec szły tapety, dewocjonalia.

Traciłszy nie tylko pieniądze, ale i okazje do zmniejszenia bezrobocia wśród rzemieślników i wśród kadr artystów doskonale przygotowanych do pracy w produkcji przemysłowej i rzemieślniczej. Przy racjonalnej gospodarce tymi ludźmi można było wytwarzać własne modele i własne wzory, można było nie tylko spożytkować miejscową twórczość, siły robocze i krajowe surowce, ale przede wszystkim można było zdobyć nowe formy rodzimej kultury.

Przecież obcymi wzorami i to często trzeciordnymi — w dodatku niedostosowanymi do naszych warunków — posługiwało się dotąd całe nasze rzemiosło i rękodzieło. Przecież nie było ani jednego żurnalu polskiego. Jedynie polskie teksty włączano w żurnale wiedeńskie, paryskie i niemieckie. Z tych międzynarodowych popłuczyn korzystali wszyscy nasi szewcy, krawcy i krawcowe, bielizniarki, trykotarki, modniarki itd., a całe nasze społeczeństwo jakże chętnie stroiło się w te „cudze piórka“.

Smak, inwencja artystyczna i techniczna, piękno — to wartości gospodarcze cenne w każdym kraju; ale u nas była to wartość podstawowa. Polska bowiem i przed r. 1939 była krajem biednym, wyniszczonym zaborami i wojnami, krajem dorabiającym się dopiero własnych form administracyjnych i państwowych. I wówczas również kraj był odarty z za-

bytków, a bezustannie niszczone ciągłość naszej kultury sprawiła, iż niedużo mieliśmy atrakcyjnych ośrodków regionalnych! Polska była uboga w walory klimatyczne i tereny turystyczne, nie miała zorganizowanego przemysłu hotelarsko-turystycznego. Kraj ubogi — nie bardzo miał co „oferować“ w wymianach międzynarodowych

Tani eksport surowców — to gospodarka rabunkowa. Eksport taniej pracy własnych obywateli w formie tanich fabrykatów, jak to robiła Japonia, groziły obniżeniem stopy życiowej naszego społeczeństwa i tak już bardzo niskiej; wymagałoby to niemal niewolniczych form ich produkowania.

Co nam pozostało, to eksport rzeczy cennych inwencją, pięknem, atrakcyjnością.

Niestety, to proste rozwiązanie naszej łamięłki gospodarczej nie przyszło jakoś do głowy nikomu z tych, którzy kierowali całąścią interesów naszego społeczeństwa. Brak zrozumienia dla tak pojętej sprawy wiązania sztuki z wytwórczością był tym dziwniejszy, iż Polska z wielu jeszcze innych względów nadawała się do zapoczątkowania takiej akcji na wielką skalę.

Mianowicie: projektowane uprzemysłowienie naszego kraju drogą rozbudowy wielkiego przemysłu wymagało olbrzymich kapitałów i wielu lat. Natomiast uprzemysłowienie kraju drogą podniesienia drobnego przemysłu i rzemiosła do poziomu twórczości można było przeprowadzić bardzo szybko — kosztem niewielkich inwestycji i kapitałów. Uwielokrotniona wartość surowca nie tylko włożoną pracą, ale i twórczą inwencją i smakiem, mogła się stać podstawą racjonalnej gospodarki. Jak mało w którym kraju dysponować można było kadrami artystów-plastyków, którzy przeszli przez staże w warsztatach w warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych i w instytucjach sztuk plastycznych. Oni mogli doskonale dostosować się do pracy zarówno w warsztatach rzemieślniczych, jak i przemysłowych. Również dysponować można było rzemieślnikami i robotnikami bardzo uzdolnionymi plastycznie, gdyż w Polsce, kraju młodym w porównaniu z innymi kulturami Europy — są jeszcze żywe, choć może drżące na razie w potencjalności, uzdolnienia plastyczne wśród szerokich mas. Ten powiedzmy „uboczny produkt“ obecnego etapu naszego procesu kulturalnego powinien być obrócony na pożytek całej społeczności.

Wreszcie nie brakowało nam szlachetnych surowców, koniecznych do uruchomienia wytwórni rzeczy pięknych.

Przy tym nasze położenie geograficzne, przyczyniające się do katastrofalnych wyniszczeń w czasie każdej niemal wojny — w czasie pokoju mogło dać nam prerogatywy w eksporcie.

Słowem, były odpowiednie talenty i cierpliwe, zręczne ręce, były surowce — ale brakowało dotąd zdrowej gospodarskiej kalkulacji.

Tak się przedstawiały nasze niewyzyskane możliwości w okresie ubiegłego dwudziestolecia niepodległości.

Dziś sprawa uaktywniania wytwórczości przemysłowej i rzemieślniczej przybrała jeszcze na aktualności.

Przed wszystkim pojawił się problem demokracji wartości kulturalnych. Idea „piękna na codzień i dla wszystkich“ musi się oprzeć dziś na podniesieniu poziomu estetycznego przedmiotów codziennego użytku, dostarczanych masom odbiorców. Piękny desekretonu, ładna forma kubka lub stołka seryjnej produkcji, dobra ilustracja w książce, powinny być pierwszymi jaskółkami upowszechniania kultury plastycznej.

Równie istotną i dopiero teraz aktualną stała się sprawa przestawienia produkcji przemysłowej i rzemieślniczej z torów prywatnych interesów i szlaków schlebienia najniższym, wypaczonym gustom mas — na drogę racjonalnej produkcji zarówno z punktu widzenia gospodarczego, społecznego, jak i estetycznego.

Dziś, gdy państwo ma tak wielki wpływ na produkcję rzemieślniczą i przemysłową, powinny być należycie przeprowadzone dezyderaty w sprawach wagi państwowej — jak nasycenie produkcji twórczością plastyczną (pięknem, inwencją i atrakcyjnością).

Wreszcie obecnie sprawa przygotowania wartości gospodarczych do wymiany międzynarodowej nabrała specjalnej aktualności.

Wojna niszczyła kraj, odbudowa całości życia domaga się surowców, maszyn, środków lokomocji. Przez długie lata zdani będziemy na inne kraje, gdyż zbiednienie społeczeństwa jest przecież katastrofalne. Nigdy tak jak teraz problem wartości eksportowych nie był równie palący.

Poza tym dziś dopiero otwierają się przed nami nowe możliwości eksportowe na wschód od Bugu.

Tam powinniśmy kierować w przyszłości piękne tkaniny odzieżowe, ładne stroje zarówno produkcji seryjnej, jak i z warsztatów rzemieślniczych, piękne trykotaje, pomysłową galanterię, zabawki, wzory, modele i żurnale...

Przed rokiem 1914 wyroby polskie, zwłaszcza warszawskie, cieszyły się w Rosji wielką popularnością. I teraz również daje się zaobserwować zainteresowanie, zwłaszcza kobiet radeckich naszymi wyrobami z zakresu przemysłu odzieżowego i galanterii.

Ta dziedzina wytwórczości, jeśli będzie dobrze zorganizowana, może w przyszłości przydać Polsce funkcję, jaką Francja posiadała przez paręset lat w Europie Środkowej.

Wojna, niszcząc wiele krajów w Europie spowodowała niesłychane wzbogacenie Ameryki.

Dziś Stany Zjednoczone w wymianie międzynarodowej poszukiwać będą przede wszystkim towarów luksusowych, których wartość polegać będzie na inwencji, smaku, pięknie.

Nasze obrazy, sztychy, drzeworyty, rzeźby, gobeliny — nasz tzw. przemysł ludowy, wykintne, oryginalne, nieseryjne i bardzo piękne przedmioty branży odzieżowej, galanterijnej, zabawkarskiej, trykotarskiej itp. — mogą w wymianie z Ameryką udostępnić nam przywóz precyzyjnych maszyn, potrzebnych środków lokomocji, surowców, lekarstw.

Industrializm, wbrew mniemaniu wielu, nie tylko nie zabija produkcji rzemieślniczej, ale podnosi jej wartość — pod warunkiem powrotu rękodzieła do tradycji twórczości plastycznej. Wielki przemysł, oparty o produkcję seryjną, zaspokaja znakomicie potrzeby seryjne. Wszelkie warianty w produkcji fabrycznej są kosztowne — w pracy ręcznej, właściwie pojętej czynią działalność pracownika atrakcyjną i prawie nie podrażają wyrobu. Wszystkie dziedziny produkcji, których wartość polega na oryginalności, wyszukaniu i szarmonizowaniu z indywidualnymi, inżynierskimi potrzebami, lepiej się kalkulują w oparciu o rękodzieło, rzemiosło i drobny przemysł.

Nasze możliwości w tej dziedzinie są olbrzymie, choć na razie drżące one jedynie w potencjale.

W hierarchii potrzeb, w kolejności odbudowy różnych działów przemysłu, przede wszystkim wysiłki będą skierowane ku odbudowie przemysłu ciężkiego, przemysłu wytwarzającego środki lokomocji i przemysłu budowlanego. Znacznie później przyjdzie kolej na wielki przemysł w zakresie produkcji odzieży i galanterii.

A tymczasem wyniszczona, wydarta i ograbiona ludność będzie musiała jakoś się odzierać.

I już dziś stwierdzić można podniesienie się rentowności rzemiosła. Stoi ono wobec możliwości rozwoju.

Postaramy się, by ten rozwój nie był jedynie koniunkturalną „efemerydą“. Skierujmy nasze rzemiosło z ślepego toru imitowania form przemysłowych na dawną wspaniałą drogę — twórczości plastycznej.

Przygotujmy je do wielkiej roli, jaką odegrać będzie mogło w naszym życiu gospodarczym przede wszystkim na odcinku naszego eksportu.

Przyszłe zyski — i to zyski ogromne, nie tylko gospodarcze, ale społeczne i kulturalne — osiągniemy jedynie wówczas, gdy już dziś zostanie ustalony program zasilania twórczością odpowiednich działów rękodzieła, rzemiosła i przemysłu.

Decyzje te muszą być uzgodnione z organizacją plastyki w kraju, muszą znaleźć swój odpowiednik:

1. w organizacji szkolnictwa artystycznego plastyki,
2. w organizacji dokształcania zespołów dojrzałych plastyków do bezpośrednich zadań w rzemiosle i przemyśle (praktyki, staże, kursy itd.),
3. w akcji racjonalnej organizacji produkcji (np. suszarnie drzewa, chów owiec o wysokowartościowej wełnie, farbowanie lnu, konopi, wełny, obróbka łyka, wikliny, połów bursztynu itp.),
4. w akcji wydawniczej (wzorniki, kolekcje modeli, żurnale, samouczki, podręczniki),
5. w odpowiedniej akcji propagandowej.

Dziś, gdy musimy rozpoczynać niemal wszystko od nowa, postaramy się o racjonalną kooperację i właściwą organizację wszystkich potencjałów naszego społeczeństwa, zarówno w twórczości plastycznej, jak i potencjałów pracy.

Problem wiązania sztuk plastycznych z życiem, problem twórczości plastycznej zarówno artystów plastyków, jak i szeroki mas musi być uwzględniony w „planie państwowym“. W nowej organizacji kraju, trzeba wyznaczyć nową rolę sztukom plastycznym, które dotąd wegetowały na marginesie życia społecznego w charakterze mało atrakcyjnej rozrywki, zamiast promieniować twórczą mocą, uaktywniając różnorodnie dziedziny wytwórczości.

Dysponujemy wszelkimi elementami przyszłego rozwoju przemysłu i rzemiosła, uwarunkowanego twórczością plastyczną o olbrzymich możliwościach eksportowych, na razie jednego nam tylko brak — właśnie powszechnego zrozumienia wartości gospodarczej piękna.

W poprzednim (43) numerze „Odrodzenia“ z dnia 23 września: Włodzimierz Lechowicz: Okrakiem na barykadzie. — Tadeusz Kwiatkowski: Przymierze z wrożem. — Tadeusz Różewicz: Borem, lasem... — Zbigniew Bienkowski: Kiedy słuch. — Włodzimierz Słobodnik: Eleonorze. * * *. — Jan Tański: O marksistowskie podstawy w ocenach estetycznych. — Tadeusz Breza: Teatralne poprawki. — Artur Sandauer: Kłopoty tłumacza. — Kazimierz Wyka: Potęga ciemnoty potwierdzona. — Józef Siemradzki: Zakochani w Pomorzu. — Włodzimierz Dworzaczek: Co archiwum polskim zabrała wojna. — St. F. Michalski: Straty orientalistyki polskiej. — J. Kronika kulturalna ZSRR. — Kronika ilustrowana. — Mieczysław Dereziński: Sztuki piękne w mieście Kopernika. — Jan Kott: Po prostu. — Nieco prawa i ocena czynu. — Korespondencja (Jerzy Sikora, Jerzy Andrzejewski). — 4 ilustracje. — 8 stron.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

Dzieje emigracji londyńskiej

Rzecz działała się we Francji...

WSTĘP

Po rozgromie Państwa Polskiego we wrześniu 1939 rozpoczął się nader szczególny okres w dziejach Polski. W okresie tym olbrzymia większość Polaków została pozbawiona legalnej i normalnej możliwości wyrażania swych poglądów i kształtowania, przynajmniej w sposób bezpośredni, swych losów. Możliwość tej nie straciła jedynie szczypta bardzo, w stosunku do wielomilionowego narodu, garstka społeczna, jaka znalazła się po rozgromie poza granicami Polski, w szczególności na Zachodzie. Państwa zachodnie były w tym momencie formalnymi sojusznikami Polski; były w walce z jej wrogiem i zaborcą. Związana całą swą historią i całą swą kulturą z Zachodem, Polska obracała swe oczy na ów Zachód. Na Zachodzie ukonstytuowały się nowe władze państwa polskiego, emigracyjne; na Zachodzie powstała i weszła do walki polska emigracyjna armia; na Zachodzie wychodziły polskie pisma, istniał rodzaj polskiego parlamentu, mogła wyrażać się swobodnie tamtejsza polska opinia publiczna. Cóż dziwnego, że w okresie niemieckiej nocy nad krajem, ten Zachód i polska emigracja na Zachodzie musiały wywoływać najwyższe zainteresowanie i podniecać najśmielsze nadzieje? Ponadto we wspomnieniach polskich nie zatarła się pamięć innej emigracji, tej po powstaniu listopadowym 1831 roku, emigracji zapisanej tak świetnie na kartach naszej literatury, a poniekąd i naszej historii. Jeśli we wspomnieniach wielu innych narodów słowo emigracja posiada raczej smutny i niepocholeby wydźwięk, jeśli Francuzom kojarzy się to słowo z emigrantami burbońskimi, którzy uciekając przed ogniem rewolucji francuskiej mieli powracać do własnego kraju „na nieprzyjacielskich furgonach“, jeśli dla Rosjanina słowo emigracja kojarzy się z Denikinem, Wranglem czy atamanem Machno, to dla Polaka emigracja kojarzy się i z legionami Dąbrowskiego powstałymi nad Padem, i z „Panem Tadeuszem“, który wyrósł z tęsknot paryskiego bruku, i wreszcie z hymnem narodowym, który także powstał gdzieś między Mediolanem, Weroną a Trebią. Tak, smutni emigranci zaleszczyccy 1939 roku, błądząc po zesławionych zaułkach zaciemnionej wojny Paryża, odnajdywali wszędzie niezwykle dostojne ślady i jeszcze bardziej pouczające przykłady. Mieli piękną tradycję do podjęcia, — i mieli doświadczenie sprzed wieku do wyzyskania.

Mieli również położenie polityczne niewypowiedzianie lepsze od tamtych wielkich. Ani w 1830, ani w 1831 roku Francja i Anglia nie ruszyły palcem na rzecz Polski, choć wsparły wysiłek wyzwolenicy Belgów i drugi, Greków. Tym razem było o tyle inaczej, że państwa Zachodu już były wojnę wszczęły i pomimo klęsk nie przerwała się ona i potem. Co więcej, walczyła dalej i Polska. Miała już niebawem, na obcej ziemi, bronić niepodległości tak dalekiego kraju jak Norwegia — walka o Narvik — miała bronić Francji, gdy załamywały się francuskie, źle prowadzone dywizje, miała swą marynarką osłaniać odwrót Brytyjczyków pod Dunkierką, miała wreszcie, w przełomowej dla Wielkiej Brytanii chwili, dostarczyć temu Imperium świętych, ofiarnych, a nade wszystko wysoko kwalifikowanych lotników, którzy — choć o tym później Anglicy nie lubili zbytino pisać — zaważyli w owym momencie naprawdę na losach wojny. To już nie były, jak w 1830, jakieś dalekie dla Francuza bitwy pod niewymawialnymi Iganiami, Stoczkami czy Grochowami. To były walki pod Montbart polskich czołgów generała Maczka, to było Arcis sur Aube, to było Dol de Bratagne, to była Dunkierka, to były białe skały Dowru i zielone wzgórza Kentu, słowem rzeczy bliskie. Zarazem kraj przynosił inny, bezcenny atut moralny, swój brak Quislinga, swe męczeństwo, swą pracę i walkę podziemną. To wszystko stanowiło w rękach polskiego Londynu ważkie i ciężkie atuty — przepraszam że używam tego graczońskiego określenia dla rzeczy tak cennych. One sprawiły, że sprawa polska stała się wysoko.

Niestety nie potrafiły już sprawić, aby po pięciu latach nie nastąpił ostateczny krach emigracyjnej polityki. Z tego krachu zdaje sobie dziś sprawę cała Polska; zdaje sobie najlepiej z niego to właśnie środowisko, w którym tkwiłem i z którego wyszedłem obecnie: emigracja. Mogę zapewnić stanowczo, że w Londynie, z którego świeżo przybyłem, panuje pod tym względem najzupełniej jednolity pogląd; doszło do rozgromu, do nowej klęski politycznej. Emigracja przegrała. Dziś jedni myślą coraz silniej o powrocie do kraju, inni o usadowieniu się w Erytrei, Libii, Kana-dzie, Brazylii, Londynie wreszcie. W jednym i drugim wypadku jest to wejście w fazę likwidacyjną emigracji. Może ona trwać długie tygodnie; nawet i długie miesiące. Demobilizacja armii angielskiej na przykład, (a zatem i tych jednostek polskich, które w jej skład wchodzi) nie nabierze zbyt silnego tempa nim ogrom brytyjskiego przemysłu nie przestawi się z produkcji wojennej na pokojową. Anglicy nie zwolnią swoich i nie swoich żołnie-

rzy po to tylko, aby stworzyć masy bezrobotnych. Potrwa to zatem. — Ale proces likwidacyjnej emigracji polskiej już się rozpoczął. To jedno jest pewne. Na pisanie historii tej emigracji może być jeszcze za wcześnie. Na syntezę publicystyczną jej dziejów chyba nie Tym bardziej, że ze strony Kraju — myśmy słowo „Kraj“ pisali tam na Zachodzie przez te lata wielką literą — pada stałe pytanie: jak się stało, żeście zmarnowali tak świetną pozycję i tyle atutów, jak się stało, że przegraliście tak, jakżeście przegrali, i skutkami swej przegranej obciążyliście nas, tu w kraju, nas, którzyśmy działać nie mogli w ten co wy wolny sposób?

Tym pytaniom należy się odpowiedź.

LUZKIE SKŁADNIKI

Porównywanie emigracji z po 1831 r. i tej o sto z czymś lat późniejszej było porównaniem nasuwającym się tym łatwiej, że dla tej nowej emigracji niechęć pochlebny. Było jednak nieściśmym. W tym przedzie wszystkim, że jeśli skład pierwszej, tej wielkiej, emigracji, był w najwyższym stopniu doborowy, to skład tej drugiej był w wysokim stopniu przypadkowy, czy nawet gorzej. Szedł w kierunku minusowej selekcji.

To nie tylko dlatego, że na emigrację w 1831 roku poszli najlepsi polscy poeci, najzdolniejsi polscy generałowie i najwytrawniejsi polscy politycy, gdy w 1939 r. wprowadził wielu znakomitych poetów poszło za granicę, ale wielu innych pozostało w kraju, szereg najlepszych polskich generałów uwiązł w oflagach, a najwybitniejszym politykiem polskim, jak Witos, Rataj, Niedziatkowski, Czapiński, Trampczyński, Rybarski, zabrakło w decydującej chwili nie tyle może limuzyn, co ochoty emigrowania wspólnie z zaleszczyckim pochodem. To także dlatego, że w odróżnieniu od nich za granicę przedostał się niemal w komplecie dotychczasowy obóz rządzący. Przedostali się jego ministrowie i wojewodowie, jego starostowie i dyrektorzy departamentów, przedostali się jego generałowie, pułkownicy i majorzy, przedostali się, a raczej przetrwali na emigracji niemal w całości zespoły jego obśad dyplomatycznych. I armia i dyplomacja polska przeszły były w ostatnim dziesięcioleciu ostrą i coraz bardziej zaostrażającą się czystką polityczną, i czystka ta wprowadziła do totalizmu jeszcze nie doprowadziła, ale od demokracji najoczywiściej odwróciła i do totalizmu — niestety — zbliżyła. Szybki przebieg kampanii wrześniowej — o ileż szybszy od kilkutygodniowych bojów wrześniowo-październikowych za Powstania Listopadowego — przyczynił się do tego, że stosunkowo przypadkowo, a w większości swej minusowo, wypadła selekcja tego elementu polskiego, jaki się przedostał do Paryża najpierw, do Londynu następnie. Nieraz później zastanawialiśmy się, o ileż inaczej wyglądałyby nasze losy i postawa i wszystko, gdyby na emigracji znaleźli się ludzie tej miary co Stanisław Estreicher, co Adam Krzyżanowski, ile by nam w Anglii pomógł nieodżałowany Roman Dybowski, ile umiaru wniósłby Ignacy Chrzanowski, ile europejskości Adam Heydel. Umysłnie wymieniam tu uczonych krakowskich, najbardziej mi znanych, nie powtarzając już tego cyklu wielkich politycznych nazwisk, które wspominałem powyżej. Ileśmy stracili, że katolicyzm polski był reprezentowany na emigracji głównie przez snobów salonowych lub — gorzej — przez oeneryzujących i niedouczonego księży, gdyśmy w kraju mieli O. Urbana, Kosibowicza czy ks. Kornilowicza. Mógłbym tak poruszać szereg kolejnych dziedzin — wojsko, dyplomację, naukę, wszystko, bo ostatecznie jedno było pewne, czy kto tego chciał, czy nie chciał, nasza emigracja na Zachodzie stawała się naszą zachodnią reprezentacją Polski, miała odegrać olbrzymią rolę dla całego kraju, i było z nią, jak z reprezentacją piłkarską czy bokserską, kiedy trzeba dokonać naprawdę selekcji, a nie sklecić przypadkowy zespół.

Sklecony tak zespół przedstawiał się bardzo ubogo pod względem swego umysłowego poziomu. Poziom naszych przedwojennych wysokich urzędników z GISZu czy MSZetu był bardzo daleki od europejskiej normy. Był to niewątpliwie warszawsko-prowincjonalny zaścianek, zaścianek w dodatku, na który zaważyło w ostatnich latach zbyt wiele włosko-niemieckich eksperymentów, tęsknot do brania za mordę i w ogóle ozonizacji. W najlepszym razie było tam sporo dulszczyzny, ale jeśli dulszczyzna cuchnie nawet i wtedy kiedy nią tapetujemy lwowski magistrat, to cuchnie tym silniej wtedy, jeśli nią okładamy Paryż. Młode pokolenie, jakie w ślad za tamtymi pociągano za Karpaty, przemycając się poprzez lasy, granice i góry, wydając świetnych lotników i bohaterskich żołnierzy, nie poprawiało tego stanu rzeczy. Byli dość mocno przepojeni nacjonalizmem, lekkimi — lub i nie lekkimi — zapaszkami antysemitcko-totalnackimi. Zachodu nie znali, nie rozumieli go i nie zawsze był im sympatyczny. Zbyt długo im wma-

wiano w ostatnich latach, że Zachód ten jest zgnity, że wielkie demokracje Zachodu toczy rak „czerwonej zarazy“, że Francja jest „zmurszała“, a Anglia „strupieszala“, — czy też odwrotnie. Nie prędko i nie wszyscy mieli ten świat zrozumieć. Nie rozumieli go zrazu, to pewna. Natomiast wykazywali od razu olbrzymi brak samodzielnego politycznego myślenia, rozumowania w kategoriach realnych, olbrzymi pociąg do spuszczenia się na cud, na przypadek, na jakoś to będzie. Kojarzyli wspaniałe nieraz męstwo i wspaniałą ofiarność z niestychanym brakiem zdolności rozumowania. Szkoła nacjonalizmu wojującego, jaką przeszliśmy w ostatnim dziesięcioleciu przedwojennym, zaciążyła na kraju tym, że ułatwiła grunt pod dalszą, niemiecką już robotę, bezlitosnego szczucia Żydów. Na pokoleniu, jakie z kraju wyszło na obczyznę, zaciążyły tragicznie bezmyślne, stadne, sejmikowe, niezwykle popularne i niezwykle głupie hasła wyhukiwane nocami całymi na bratniackich zebraniach. Ci ludzie nie umieli już myśleć politycznie, nawet w tak nieszerokich przeciwieństwach jak te, jakie wytyczył im ongi w licznych edycjach swego koranu Roman Dmowski.

SIKORSKI

Ową lepką glinę emigracyjną miał miesić i ugiąć człowiek bardzo odmienny od wielu, co przed nim, za jego czasów i po nim mieli wodzować Polakom. Był nim Władysław Sikorski. Rzadko kiedy w Polsce doszedł do władzy człowiek tak daleki od doktrynerstwa, od wszelkiego partis pris, od twardości, monolitowości, zaciekłości, bezwzględności, co Sikorski. Rzadko kiedy doszedł w Polsce do władzy człowiek tak bardzo realistyczny, to znaczy myślący o tym, co się da zrobić i jak to można zrobić, co leży w granicach możliwości ludzkich, narodowych i czasu, co zaś poza te granice wybiega. Rzadko kiedy doszedł do władzy człowiek tak bardzo kompromisowy. Gdy czytam to co o Nim tu napisałem, po tylu latach bliskiej i zaszczytnej współpracy, obawiam się, by tu jacy pochopni rodacy nie wzięli któregoś z tych określeń za obrazę tej wielkiej pamięci. Bynajmniej. Po latach spędzonych na Zachodzie wyznaje, że cenię u meżów stanu to, co Francuzi nazywają „esprit de compromis“, a Anglicy (może ładniej) „conciliation spirit“. Po latach przeżytych w cieniu tak doktrynerskich i monolitowych postaci jak grubas z Palazzo Venezia i tamten z Brunatnego Domu, wyznaje, że wolę inne postacie. Sikorski wyszedł z dawnej Galicji, która była częścią dawnej Austrii, gdzie zawsze wolano „zgnili“ pokój, niż „zdrowa“ wojnę, gdzie nie kończyły się kombinacje, konszachty, pakty, sojusze stronnictw, warstw i krajów. Sikorski był giętki, lotny, chwycił łatwo koncepcje, pojmował środowiska, w które wchodził, Sikorski miał olbrzymie dane na polityka parlamentarnego w największym stylu, miał jeszcze większe może na polityka międzynarodowego, gdzie trzeba dużo koncyliacji, jednania, pośredniczenia, godzenia. W każdym prawie momencie naszej historii te wszystkie przymioty pomogłyby i Polsce, której ten człowiek służył, i jemu samemu. W jednym tylko okresie zaszkodziły i Polsce, której chciał służyć najlepiej i jemu samemu. Było to w owych kilku pierwszych tygodniach — może kilkunastu nawet, — jakie nastąpiły bezpośrednio po objęciu przezeń władzy w Paryżu. Po 30 września 1939.

Albowiem, po 30 września 1939, kiedy został premierem wyznaczonym, sytuacja polityczna polska była w ręku tego człowieka. Jeden z publicystów amerykańskich użył podobnego określenia o prezydencie Wilsonie. Powiedział on, że wtedy, kiedy prezydent przybył do Europy, w jesieni 1918, dla ustalenia warunków pokoju, Europa była jak wilgoćna gлина w jego ręku. Mógł ją lepić i... nie ulepił. To samo było z generałem Sikorskim. Po wrześniu 1939 reżym, jaki od tyłu lat zszadził Polską, reżym, który jego, Sikorskiego, najsrożej zwalczał, leżał na ziemi. Sikorski mógł skurczyć ramy dyplomacji polskiej — ale nie tworzył ich w całości z ludzi, którzy byli nie tyle technikami zawodowymi, co zaufańcami politycznymi Becka. Sikorski mógł rozpocząć od nowa tworzenie armii polskiej na obczyźnie. Mógł z elementu rumuńsko-węgierskich wygnańców wziąć tylko najlepszych, wziąć niewielu, wziąć tylko tyłu, ile było potrzeba dla rozbudowy niezbyt licznej polskiej armii na Zachodzie. Mógł tę młodzież, może źle wychowaną ale na pewno ofiarną, idącą za jego wskazaniem ku Francji, wychować w nowych szkołach oficerskich w nieozonowym duchu, dać jej szybko stopnie, i położyć tym podwaliny pod przyszłe, niepolityczne siły zbrojne państwa. Mógł z biurokracji wyższej, jaka ścigała do Angers, wyłuskać nieliczny sztab wartościowy — mógł, słowem, skorzystać z upadłości, jaka nastąpiła i nie przyjąć na swe barki wszystkich dawnych obciążań reżymu. Początkowe kroki Sikorskiego wskazywały, że tak postąpi. Niestety, tego nie zrobił. W sześć miesięcy po ustąpieniu rządu Sławoja-Składkowskiego hotel „Re-

gina“, w którym urzędował sztab polski w Paryżu, upodobnił się swym składem do przedwojennego Generalnego Inspektoratu Sił Zbrojnych w Alejach Ujazdowskich. prowincjonalne hotele ślicznego Angers, gdzie mieściło się wygnane MSZ, przypominały zespołem ludzkim Pałac Brühlowski z ulicy Wierzbowej w Warszawie, — a każdy następny tydzień bezszelstnie upodabniał dalej te wszystkie instytucje do ich poprzedniczek, przerzucając mosty nad narodową klęską. Powtarzano wzniośle: nie chodzi o to, by nie wracali „dawni ludzie“, chodzi o to, by nie wracali „dawne metody“, Wiercono naiwnie, (a może i wcale nie wierzone), że wstrząs września odmienił tych ludzi. Miano przekonać się niebawem, że tam, gdzie wracają dawni ludzie, wrócą z nimi dawne metody.

Jakie racje skłoniły Sikorskiego do przyjęcia w tak szerokiej mierze, jeśli nie winnych, to współwinnych? Zapytywałem o to i Jego samego nieraz, nieraz i jego bliskich współpracowników. Bo przecież Sikorski mógł ten cały ludzki smulec historii pozostawić w Rumunii. Odpowiedzi były liczne. Sikorski podkreślał, jak bardzo zależało mu na tym, aby pomiędzy urzędowaniem Państwa Polskiego w Polsce, a Państwa Polskiego na wygnaniu możliwie nie było przerwy, możliwie nie było luki, aby jedno „zaskoczyło“ w drugie, aby w miejsce jednego rządu, który upadł, przyniesiony obuchem września, zjawił się nowy, w miejsce jednej armii wyrosła druga, — i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. „Nie mogłem czekać pół roku, aż mi się nowi oficerowie wyszkolą; ja potrzebowałem ich zaraz“. Skarżył się jeszcze na brak ludzi, na to, co mówiłem uprzednio, że w wydostaniu się za granicę uprzedni reżym, reżym jego wrogów, był wybitnie uprzywilejowany. „Pracuję tymi ludźmi, jacy są pod ręką“. Raz powiedział jeszcze: „Podniosłem ich, gdy upadli, a teraz mnie gryzą“. Liczył zapewne na ich wdzięczność. Ale zwłaszcza w kołach pilsudczyków w stosunku do Sikorskiego panować miała głucha, zapiekła nienawiść, datująca się z jakichś starych, tamtowojskich, enkaenowych czasów, dochodząca do wymiarów jakiejś korsykańskiej rodowej vendetty. Nie mieli mu nigdy być lojalni. Mieli się tylko przyzwać. Mieli tylko czekać okazji.

Na razie, w owych pierwszych miesiącach Sikorskiego w Paryżu i Angers, zimą 1939—1940, wydawało się, że będą czekali na próżno. Wszystko, zdawało się, jest przeciwko nim. Ich winiono za szybki klęski wrześniowej. Przykład Belgii i Holandii, a potem Francji nie pokazał był jeszcze światu całego ogromu niemieckiej potęgi; pamiętano tylko tempo upadku Polski. Teren Francji był też wybitnie nieżyczliwy dla obozu politycznego pułkownika Becka. Wreszcie we Francji był jeszcze jeden czynnik polityczny, który osaczał tych ludzi, a wspierał, siłą rzeczy, Sikorskiego. Oto była w tym kraju parusetysięczna stała emigracja polska, górniczo-robotniczo-rolna. Był to element niezwykle ciekawy. Pozostając narodowo polskim, zasymilował się był politycznie i socjalnie do francuskich warstw robotniczych, brał czynny udział w ich życiu, posiadał nader wysoki stopień uświadomienia i wyrobienia. Podczas niedawnych walk w Hiszpanii zasilił Brygady Międzynarodowe blisko dziesięcioletnią rzeszą ochotników, a obecnie napływał masowo do organizowanej przez Sikorskiego armii we Francji. Element ten miał bardzo wyraźny pogląd i na stosunki panujące w Polsce, i na przyczynę klęski, i na ludzi, których zaliczał do „dawnych rządzących“. Był nawykły we Francji do innego stosunku oficerów do żołnierzy, niż ten, jaki niektórzy starali się mu narzucić, swe poglądy wypowiadał śmiało, bez ogródek i ostro. Ta masa, idąca w setki tysięcy, aktywna i samodzielna, równoważyła tamtych, przyjmowanych z powrotem do udziału we władzy. Wraz ze wspomnieniami świeżymi września i jego przyczyn, wraz z atmosferą polityczną Francji, właśnie obecność takiego środowiska politycznego neutralizowała wpływ tych, z którymi Sikorski poszedł był na kompromis: ludźmi dawnego reżymu. I póki rzecz działała się we Francji, neutralizowała dość skutecznie.

Ale rzecz nie zawsze miała dziać się we Francji.

KLĘSKA FRANCJI

Niebawem bowiem nastąpiły wydarzenia polityczne, które wyrzuciły zupełnie emigracyjną sytuację.

Wydarzenia te rozpoczął upadek Francji.

Błyskawiczność wiosennych zwycięstw niemieckich 1940 roku, rozwalenie Holandii, kapitulacja Belgii, pogrom Francji — wszystko to umniejszało i psyczało w cień wspomnienie polskiej klęski we wrześniu. „Nie my jedni byliśmy nieprzygotowani“ — wdychało wielu, a usadowieni na Zachodzie pogrobownicy ekipy Sławoja—Rydz—Beck, mogli dodawać: „Widzicie, wcaleśmy gorzej nie rządźli“. Ludzie ci popodnosili głowy. Popodnosili je tym bardziej, że niebawem znaleźli się w Anglii, która sprawę polską mniej — zdawało się —

znała niż Francja, gdyż do wewnętrznych spraw emigracji miała — zdawało się wtedy — stosunek odleglejszy i bardziej obojętny niż Francja. Ekipa Sławoja—Rydz—Becka mogła odetchnąć z ulgą i orzec: „Tu nas mniej znają“. Wreszcie zabrakło niemal zupełnie tego demokratycznego czy lewicowego zaplecza, jakie posiadał Sikorski we Francji w postaci polskiej emigracji robotniczej. Większa część tej emigracji — górnicy i metalowcy — nie byli prawie zupełnie zmobilizowani, ofensywa niemiecka na północy Francji zagarnęła ich więc jeszcze w maju 1940. Z dwóch polskich dywizji, wysłanych na front wogeski i z Brygady Podhalańskiej wysłanej pod Narvik, a potem wyładowanej w najniebezpieczniejszy sposób we Francji w dniu ...upadku Paryża, jedynie części udało się przedostać do Anglii. W tym, co się przedostało, było procentowo znacznie więcej oficerów z Polski, niż żołnierzy z Francji.

Wreszcie w ostatnich miesiącach pobytu we Francji ruszyła z Rumunii i Węgier fala oficerów bądź wojskowo mało przydatnych, bądź o nastrojach zdecydowanie politycznych. Już wtedy z generałem Dębem-Biernackim rozpoczęli oni intrygi przeciwko Sikorskiemu, sięgające aż do Francuzów. Ten element bądź niepożyteczny, bądź dywersyjny politycznie, Sikorski skierował do paru miasteczek francuskich, jak Ceriasai w środkowej Francji, jak obóz pod Vichy. Otrzymywali oni okrojone pobory, mieszkali w pensjonatach, o pozwoleniu wyjazdu poza najbliższą okolicę musieli się zwracać do swych dowódców, i oczywiście uznali siebie za najbardziej pokrzywdzony element pod słońcem. Mówił o „Berezie“ Sikorskiego, a nawet o „naszym Oświęcimiu“. Najwidoczniej nie mieli zbyt dokładnych relacji ani na czym polegał Oświęcim, ani co oznaczała Berezka, ta Berezka, w której utworzeniu niejedynemu do niedawna współpracował, a której istnienie imi wszyscy bądź akceptowali, bądź pochwalali. Otóż, jeśli z upadkiem Francji cała emigracja robotnicza polska w tym kraju została odcięta od emigracji politycznej powrzesniowej, to pensjonariusze Ceriasai i Vichy nie ulegli niczemu podobnemu. W całości i komplecie przedostali się do Anglii, i rozwinęli niebawem energiczną działalność. Błądka już we wspomnieniach pamięć września, która obarczała ich odpowiedzialnością; nowe środowisko angielskie mniej rozróżniało poszczególne kierunki polskie, wreszcie sam skład polityczny tej emigracji przesunął się wybitnie w kierunku, który przy najlepszej dobrej woli trudno byłoby nazwać demokratycznym. Toteż bardzo szybko przeszli do akcji czynnej. B. ambasador Becka w Paryżu, Łukasiewicz, napadł energicznie na Sikorskiego, czyniąc go winnym ni mniej ni więcej, tylko za ...upadek Francji. W ślad za tym atakiem, w lipcu 1940, prezydent Raczkiewicz spróbował ...udzielenia Sikorskiemu dymisji. Udzielił jej rzeczywiście — ale postawa stronnictw, obruszenie wojska i nastroje opinii sprawiły, że sprawa ta została „zakłajstrowana“ i parogodzinny „premier“ August Zaleski powrócił z powrotem na swoje dawne stanowisko ministra spraw zagranicznych. Czyż trzeba, komentować wyraźniej fakt, że wedle planów prezydenta Raczkiewicza nowym premierem miał zostać były minister spraw zagranicznych rządów pomajowych? Czy był to także dowód demokratycznych tendencji Głowy Państwa?

Formalnie biorąc, szturm się nie udał. Formalnie biorąc, latem 1940 zwyciężył **Jeszeze Sikorski**. Znowu poszedł na kompromis ze swymi przeciwnikami. Ale już w zmienionych warunkach. Kompromis dokonywany z nimi po wrześniu 1939, był to kompromis zwycięzcy z obalonymi na ziemię. Był to kompromis człowieka, który czuje się silnym i lekceważy przeciwnika. Był to kompromis człowieka, który za sobą czuje zwartą masę, gotową do natychmiastowego zaszachowania tych ludzi, z którymi wszedł w sojusz, a którzy mogą być nieoświadczeni. Tak był kompromis francuski Sikorskiego. Jego kompromis angielski, rozpoczęty po wyładowaniu w Anglii i prowadzony — niestety — till the very end, do końca, był już innym kompromisem. Był kompromisem człowieka, który czuje się słabym, **chwilowo** odosobnionym, **chwilowo** otoczonym wrogami swymi i swej idei, ale który wie, że to tylko tu, na tej kępie, i tylko chwilowo, w tych paru latach, jest tak właśnie, że oni są silniejsi, a on słabszy. Sikorski powiadał sobie, że tam w Kraju, to Jego imię jest wymawiane z czcią, a imię tamtych z przekleństwem lub niechęcią; powiadał sobie jeszcze, że walka, która trwa teraz na globie ziemskim doprowadzi nie tylko do zagłady Hitlera czy Mussoliniego czy Franco, ale że jednocześnie ze zwycięstwem rozstają nie tylko wielkie lodowce totalizmu, ale jeszcze i skromniejsze śniegowe bałwany, prymitywnej, domorosłej, niezdarnej, a jakże szkodliwej produkcji. Sikorski brnął w wojnę jak okręt, który od dna przeżerają jakieś mięczaki, drobnoustroje, koraliny, czepiające się stalowych płyt dna, jak okręt, którego kapitan wie, że zdałyby się solidny remont i oczyszczenie z tego paskudztwa, ale który sobie mówi, że nie można tych napraw dokonać na pełnym morzu, trzeba najpierw dopłynąć do ojczystego portu.

Niestety, koraliny i mięczaki przeżerają czasem najgrubsze stalowe płyty i wreszcie okręt ...nie dopływa do portu.

Tak się właśnie stać miało.

Ksawery Pruszyński

CZESŁAW SCHABOWSKI

Pierwsza spowiedź

Druga w nocy. Ciszę przerywało chrapanie śpiących, które Sławkowi wcale nie przeszkadzało w jego nocnym zajęciu, aczkolwiek chrapanie to nieraz zamieniało się jakby w jakieś rżenie i charczenie przedśmiertne tych, którym gardła poderżnięto. A już Czaplowski chrapał najróżniej, aż zniecierpliwiony Sławek podniósł głowę znad książeczki i sam do siebie rzekł, patrząc w stronę ojca:

— Ciekawy jestem, czy też i ja tak charczę? Jak tak można „na głos“ spać... Mama tylko cichutko śpi. Dlaczego to?

Zastanowiwszy się trochę nad tym problemem, wrócił do swojego zajęcia, podkręcając knot u lampy naftowej, która co chwilę gasła i gasła; knot był za krótki i jak stwierdził, nie sięgał już poziomu nafty. Odkręcił więc maszynkę i dołał wody, aby podnieść naftę do góry. Płynu tego cennego dołać nie mógł; matka zawsze chowała go gdzieś, tak że nawet przy jego wrodzonym sprycie trudno było znaleźć; matka stała walczyła z tym, że dzieci po nocach czytały książki tłumacząc, że na to i w dzień jest czasu aż za dużo. Ale cóż? — Jeżeli Sławek zaczął jakąś książkę, zamknął ją wtedy dopiero, kiedy słowo „Koniec“ nie pozwalało mu na dalsze czytanie. Doczytywał więc w nocy wstając potajemnie i na nowo zaświecając lampę... Czaplowska często budziła się i gonila syna z powrotem do snu, lecz to na nic się nie zdawało.

Dzisiaj akurat nie czyta, lecz skrupulatnie studiuje z książeczki do modlenia „rachunek sumienia“. Jutro idzie do pierwszej spowiedzi. Po przeczytaniu „rachunku“ przekonał się, iż grzechów ma tyle, że już chyba żywcem do piekła powinien iść: stryjence, która często posyłała go za jakimś sprawunkami drobnymi — przeważnie za wódką — zawsze coś urwał. Miał za 20, tylko za 15 halerzy kupując i pozostały „rabat“ obracając na swoje potrzeby. Ile razy? Ile razy? — zapytuje się sam siebie powtarzając za „rachunkiem“ i te ciągle „ile razy“ przyprowadza go często do niemej złości. Skąd to tak można zliczyć wszystko i to za tyle lat. Pomyślał nad tym, czyby na przyszłość, aby Pana Boga zaspokoić tym „ile razy“, nie było dobrze prowadzić jakiegoś rejestru... — Nie, o nie, — myślał nad tym — jakby taka „buchalteria“ dostała się komuś w ręce! No, no, już nie o bicie chodzi, ale o wstyd... Jakież by to wstyd był na przykład, gdyby matka dowiedziała się o tych „nieprzyzwoitych rzeczach“, a zwłaszcza Zośka, która nieraz podpatrywała, jak spała odkryta... Albo z tą słoniną, po której matka go stale posyła, a on, zamiast ćwierć kila, na które dostał pieniądze, przynosi 20 deka, pozostałe pieniądze obracając na haczyki do wędek, na kabzle do pistoletów, na książki...

— To chyba największe grzechy — zastanawia się, po czym znów stwierdza, że są na jego sumieniu jeszcze cięższe. Na przykład z tymi dwoma koronami, które wziął od uciekinierów. — Nie popełnił przestępstwa, ale miał zamiar, a w myśl kodeksu boskiego to już jest grzechem śmiertelnym.

Przypomina sobie tę historię. To było przecież tak dawno, — jeszcze w czasie wojny, ale pamięta jak dzisiaj: najpierw stał długo, długo przed wystawą sklepową Szlomy Warszawskiego oglądając różne nowe cuda, do których dziecko w jego wieku wzdycha, lecz ani pistolety, ani korki, ani kabzle, ani samochody, ani klocki, ani naklejanki nie obchodziły go wtedy. Oczy jego były wlepione w inne cuda: wędkę, „spławiki“ kolorowe, haczyki najróżniejszej wielkości, żyłki i nitki. Do tych cudów co dzień przychodził, lecz były one dlań nieosiągalne, poza nocami, w których śnił, że ma ich tysiące, by rano z żalem przekonał się, że między snem a rzeczywistością jest wielka różnica.

I tak napatrzył się, naoglądał, nawzdychał do tych cudów i bez wędkę powędrował nad Wisłę, płądrować, szukać; a może ktoś zostawi na brzegu wędkę i uda mu się ją porwać, lub może zastawioną na szczipaka znaleźć gdzieś w jakimś kąciuku. Nachodził się, lecz darmo — nikt od wędkę nie odchodził ani, na krok. I oto tak przedzierając się nadbrzeżnym gąszczem, natknął się na dwóch żołnierzy rosyjskich, widocznie oficerów, którzy chyba oczekiwali tu nocy, aby się pod jej osłoną przeprawić na drugi brzeg. Zobaczywszy ich chciał ominąć, lecz jeden z nich najczystsza polszczyzną przywołał go:

— Słuchaj malcze, my swoi, my nie Moskale, ale przy nich musieliśmy służyć; spod Kielc jesteśmy i do swoich chcemy się dostać. Czy w mieście papierosów można dostać?

— Uhy! U Mądliczki, — ale mówią, że ty toż z pakułami ze siennika miesza...

— To nic, aby tylko było co palić. Chcesz nam przynieść?

— Dobrze, mogę...

— Masz tu dwie korony, za wszystko kup. Jak prędko wrócisz, dostaniesz za drogę...

— Wróćę prędziutko...

— Ale nikomu nie mów dla kogo, — słyszysz?

— O, niech się pan nie boi, ja już wiem...

— No, to idź. Tylko prędko.

Poszedł posłusznie. I oto znów ta wystawa

Szlomy Warszawskiego, obok której przechodził, aczkolwiek droga do Mądliczki nie tędy szła... Tak samo coś go przyciągnęło w tę stronę. Patrzy, patrzy długo, aż zapomniawszy o całym świecie wchodzi do sklepu i za całą dwie korony, jak zahipnotyzowany kupuje tyle wędek! tyle haczyków! Boże, przecież to nie taka prosta wędka z włosia końskiego, z haczykiem ze zgiętej igły i „spławikiem“ ze zgniętego korka, jakie sporządzają bracia starsi i koledzy, ale wędka prawdziwa ze słoniną jedwabną nitką i haczykiem jak ze złota!

Nagle coś zaczęło go gryźć, coś mu lży okropnie do oczu podchodziły, coś mu się zbierało na jakiś okropny płacz i coś, jakieś wzruszenie, jakiś niepokój rozsadał mu żalem piersi. I wędkę, te cudne wędkę, zdały mu się wstrętniejsze, niżeli te z włosia końskiego, a tak paliły ręce! Ile razy matce „skreśli“, ile stryjence tych centów, które razem wzięte nie na takie dwie korony uskladałyby się i nic... Nigdy, cokolwiek za te „rabaty“ kupił, nie chciało mu się płakać tak strasznie, ani tak ręce jak teraz nie paliły... Chociaż też zdawał sobie z tego sprawę, że robi nieładnie. I już wybuchnąwszy szlochem wrócił do sklepu:

— Ma pan tu wszystko w porządku nazad i niech mi pan odda te 2 korony. To nie moje pieniądze!

— Co to jest? Ty łobuz ty, ty przyszedł ukrącać a nie kupić! Wont! Pieniondze już nie oddaje jak sze towar kupi! Idź do żandarma!

Sławek struchlał. Miałżeby tak skrzywdzić biednych ludzi bez dachu nad głową, kryjących się po lasach i kępach? Nie, nie...

— Te pieniądze mamusia dała na chleb i na słoninę... Dobrze! Nie chce pan oddać, to tu mama sama przyjdzie.

Groźba poskutkowała. Czaplowską w sklepie znano, więc Żyd, krzycząc i łajając Sławka oddał 2 korony z żalem, że wymknął się mu taki zarobek. Malców takich przecież łatwiej oszukać, niż starszych.

Lecz rozpacz dalsza: Warszawski zauważył, że Sławek poszedł do Mądliczki i chce kupić papierosów, przyleciał za nim i do starej Żydówki tyle naszwargotał, że ta, aczkolwiek łakoma na zarobek, odmówiła sprzedaży towaru. Ale na to znalazł wkrótce sposób; załatwił mu kupno jeden z kolegów, którego prędko wyszukał w jakimś zaułku. Aczkolwiek i ten go okradł przy tym na jakie 20 halerzy, ale to już nie jego wina. Ze spokojnym sumieniem wrócił nad Wisłę i odnalazszy uciekinierów, oddał papierosy. Ci uradowani, obdarowali go koronówką „za drogę“ i Sławek za całą tę koronę, teraz ze spokojnym sumieniem nakupił sobie, też za pośrednictwem kolegi, bo wiedział że znów Żyd nie będzie chciał mu sprzedać — wędek i haczyków. Chociaż to było mniej niż za dwie korony, ale za to już go ręce nie paliły i jakoś mógł radośnie na swoje skarby patrzeć i na sercu tak dziwnie było mile — i w piersiach go tak nie gniołło, ale owszem, czuł w ich głębi jakąś inną, nową radość. Jednak fakt pozostał faktem: miał okraść ludzi i to ludzi w biedzie, nieszczęściu, którym na każdym kroku powinno się pomagać, a nie wyzykiwać. Zresztą w „rachunku“ wyraźnie pisze na ten temat: „czym zamyślał coś ukrąść?, co? ile razy?“. Ze smutkiem więc zanotował sobie w pamięci to jako grzech najcięższy.

Szukając dalej w pamięci grzechów, przypomniał sobie, ile razy był w ogrodach sąsiedzkich za owocami, ile razy na polach hrabiowskich za grochem. I tego ku jego zmartwieńcu zliczyć było niepodobna. I rzecz dziwna, to były kradzieże, grzechy ciężkie, nie mniej „ciężkie“ od tamtych dwu koron, które zamierzał ukrąść owym uciekinierem, ale tutaj już nie czuł takiego ogromu przestępstwa, wyrzuty sumienia tak go nie dręczyły przy tych jabłkach i sliwkach. Prędko się więc załatwił z tym, zapamiętując jako „ile razy?“ — „nie pamiętam“. I szedł dalej przez zabrudzoną drogę swej duszy: zwierzęta nie dręczył i wcale nie zatrzymywał na tym kilometrze. Czy robił coś nieprzyzwoitego? sam? lub z drugimi? — Ten problem też go dręczył długo, bo miał wątpliwości co do niektórych sprawek. Czy to może być grzechem, jeżeli na przykład przypatrywał się, jak pieski na ulicy skaczą jeden na drugiego... Przecież to się dzieje na oczach całego świata... Co do takich grzechów, jak podpatrywanie z haszcy nad Wisłą przebiegających się dziewcząt, Zośki w domu, koleżanek szkolnych w ustępach, pisanie na ścianach nieprzyzwoitych słów, to już nie miał najmniejszej wątpliwości co do stopnia śmiertelności tych grzechów, ale co do tych psów, to się głowił i głowił, aż wreszcie dla świętego spokoju i aby sumienie mieć całkiem spokojne, przyłączył je do Zośki i koleżanek.

Zdeptawszy tak całą drogę swej duszy i zmiotłszy z niej śmiecie grzechów, które w urnie pamięci postanowił zanieść rano księdzu, wyuczył się na pamięć formułki: „więcej grzechów nie pamiętam. Za wszystkie wiadome i niewiadome...“ i poszedł spać wtedy, kiedy ojciec budził się już do roboty. Lecz usnąć nie mógł. Bał się tej spowiedzi bardzo, boć tyle sprawek opowiedzieć naraz księdzu!

Lecz on nie jeden na szczęście. Jego koledzy, zwłaszcza starsi, mają do opowiedzenia coś znacznie cięższego, zwłaszcza na temat „nieprzyzwoitych rzeczy“. — Jak to dobrze, że on takich grzechów nie popełnia. Chryste! Przecież spaliłby się ze wstydu przy konfesjonale. Ciekawy był, czy też ksiądz, będąc chłopcem w ich wieku też takie grzechy popełniał?

Kiedy już z całą gromadą grzeszników był w kościele, z drżeniem serca oczekiwał swej kolejki, i w miarę, jaką się zbliżał do konfesjonatu, pragnąc odwlec jak najdłużej tę chwilę, coraz to kogoś przepuszczał przed siebie, coraz to więcej starał się od tego konfesjonatu oddalić. Ale robili to i inni, posztyrkowali się i jeden drugiego wypychał naprzód: „Idź ty pierwszy“. — „Nie, ty idź“. — „Kiedy ja się tak boję“. — „A ja? Przecież wiesz, że to ja w szkole odrzynałem guziki od płaszczy“. — „A ja? Chryste! Jak tu powiedzieć... Wiesz co...“.

Dopiero ksiądz, nachyliwszy głowę i groźnie spojrzawszy, przyprowadzał do porządku, kiwając palcem na tego lub innego, by się zbliżył i wykrztusił z siebie to, co i tak go nie minie opowiedzieć. Całe szczęście na Sławka kiwnął wtedy, kiedy już nikogo nie było. Co za głupiec. Czemuż nie szedł pierwszy, jak go wypychano naprzód? Już było by po wszystkim... A teraz, jak tu się do tego zabrać... Zatkęło go całkiem. Zapomniał po co tu się znalazł, dopiero spowiednik doprowadził go do stanu jakiejś takiej przytomności, przypominając mu pierwszą formułkę. I jak zawodowy, stary grzesznik, chytrze zaczynał od najcięższych grzechów, aby się raz uspokoił, nauczony tym czekaniem przed konfesjonalem. Myślał również, że jeśli najpierw powie te gorsze, a dojdzie do długiej litanii lżejszych sprawek, to może już ksiądz zapomni o tych pierwszych, które starał się coraz to więcej przytłoczyć, coraz to nowo przypomnianymi, błahymi przewinieniami.

Ale ksiądz nie taki głupi! Jakby w ogóle Sławek nic innego nie mówił, tylko o tych pierwszych. Piekło, piekło bezdenne go czeka i wieczne męki, jeżeli dalej będzie to robił. Co komu ukradł, ma oddać. Jeśli oddać nie może, ma prosić o przebaczenie i przyznać się do swych zlodziejstw, oraz wszelkimi siłami szkodę naprawić, odrobić.

— Jak ja pójdę do hrabiego? Do pałacu mnie nie wpuszczą. I do tego, gdy się zbierze nas cała gromada chłopców...

Ksiądz był zaskoczony:

— Przez dwa tygodnie będziesz co dzień odmawiał po pięć „Ojczy nasz“ i po pięć „Zdrowaś“ za zdrowie jaśnie wielmożnego pana hrabiego...

— A za stryjenkę i za mamusię? — pytał Sławek, pragnąc otrzymać pokutę w „zdrowaśkach“, aby uniknąć konfrontacji i nie palić się ze wstydu.

— Stryjence i mamusi przyznaj się coś robił i niech ci to przebaczą. A na drugiej spowiedzi masz mi to powiedzieć, bo inaczej popełnisz świętokradztwo, słyszysz?

— Słyszę. A może lepiej by było „Ojczy nasz“? Nawet i sto razy, aby tylko nie iść już do nich i nie mówić o tym... — prosił błagalnie Sławek.

— Nie! — rzekł twardo ksiądz. — Masz o przebaczenie prosić, no i swoją drogą za matkę po 2 „Ojczy nasz“ i za stryjenkę po 2 „Zdrowaś“ przez trzy tygodnie codzień.

— Dobrze...

— A jeśli przed komunią znów coś popełnisz lub przypominasz sobie, to masz przyjść i poprawić. Inaczej — też świętokradztwo.

— Czytałeś jeszcze coś nieprzyzwoitego?

— Już nie... Aha, prawda!

— Już wszystko... Już nic złego nie zrobię nigdy...

Chmknął ksiądz w rękę i poszedł do ławki, lekki i uspokojony — niby położnica, która w cierpieniu doczekała się pozbycia gniołającego balastu, by odmówić pierwsze „Ojczy naszki“ i „Zdrowaśki“ za hrabiego, matkę, stryjenkę. W ławce przyszło mu na myśl, czy by to nie było najlepiej wszystkie te pacierze zliczyć i za jednym zamachem wygadać? Ile to jest? Pięć razy siedem — trzydzieści pięć. A więc 70 pacierzy całych za hrabiego. Za matkę i za stryjenkę — rachunek też prosty: czternaście razy dwa — dwadzieścia osiem i jeszcze jeden tydzień siedem razy dwa — czternaście, dwadzieścia osiem plus czternaście — czterdzieści dwa na osobę.

Tutaj zastanowił się ksiądz skrzywdził i matkę i stryjenkę, bo za hrabiego, który jest tak bogaty, aż tyle pacierzy! Co hrabia to hrabia, a nie my — pomyślał. To już chyba tak musi być — i zabrał się do odmawiania.

Ale jak zapamiętać, ile już będzie miał odmówionych i ile do odmówienia? I znów wpadł na prosty pomysł: całkiem zwyczajnie, za każdym pacierzem przerzucał jedną kartkę książeczki do modlenia. A jak kartek zabraknie? To nic — od nowa od pierwszej zaczynać, a przy końcu zapisze sobie, ile już odmówił.

Zdawało mu się, że już kończy, kiedy przyszło mu na myśl, czyby tak „na ochotnika“ za matkę i za stryjenkę nie odmówić coś więcej? Ta różnica między matką ze stryjenką a hra-

W OCZACH PISARZY

Ankieta „Odrodzenia”

Redakcja „Odrodzenia” zwróciła się do pisarzy polskich z następującym listem:

Pragnąc zobrazować możliwie najbardziej dokładnie życie literackie lat wojny, zwracamy się do Pana(i) z prośbą o wzięcie udziału w ankiecie zbiorowej, którą organizujemy.

Oczekujemy od Pana(i) wypowiedzi, w której uwzględniłby Pan(i) w sposób, jaki Pan(i) uważa za właściwy, swój stosunek do rzeczywistości wojennej widzianej oczami już wyzwoleńcy; wpływ, jaki ta rzeczywistość wywarła na Pańskie zainteresowania i zamierzenia artystyczne na przyszłość.

Prosimy również o uwzględnienie szczegółowe własnej twórczości lat wojny i udostępnienie nam jej w stopniu, jaki Pan(i) uzna za słuszny.

WESTERNIZACJA PSYCHIKI POLSKIEJ

Wybuch wojny zastał mnie zupełnie do niej nieprzygotowanym. Pograżony w pracy wydawniczej, dotyczącej trzeciego tomu „Listów” St. Przybyszewskiego, nie zwróciłem dostatecznej uwagi na to, co się w szerokim świecie dzieje. Zapłaciłem za to skrajną nędzę pierwszych sześciu miesięcy wojny, póki tajne nauczanie w gimnazjum i założenie czytelnicy na Woli nie umożliwiło mi znośnej egzystencji.

Robiłem to w fatalnej depresji umysłowej, tym bardziej, że od razu na jesieni 1939, wbrew wszelkim różowym złudzeniom otoczenia, obliczałem koniec wojny na 1944 r. Zakrzykany przez optymistów, musiałem z tym ciężarem duszy pozostawać w osamotnieniu.

Załamaniem się Francji w roku 1940, kiedy upadek ducha był ogólny, a jeden z najbliższych przyjaciół, artysta-malarz Adam Grabowski, popełnił samobójstwo przez otrucie gazem, umiałem odeprzeć twierdzeniem, że Zachód właściwy, Anglosasi, nigdy się wobec Niemców nie ugną. Projekt Churchilla, żeby z Francji i Angli stworzyć jedno państwo o wspólnych żywotnych celach, powitałem jako chęć walki do upadłego. Pamiętam wrażenie w gronie nauczycielskim mojej szkoły, gdy wyłożyłem im sens propozycji angielsko-amerykańskich.

W związku z zainteresowaniem dla potęg Zachodu zabrałem się żywo do studium nad kulturą i literaturą Stanów Zjednoczonych A. P., ześrodkowując uwagę na długotrwałej i epokowej prezydenturze Roosevelta. W ciągu roku napisałem kilkanaście esejów na tematy jak: rodowód i istota demokracji USA, powieść amerykańska na tropach tradycji historycznej, pisarze francuscy USA, Ameryka w oczach pisarza — Słowianina — Adamica, sylwetki Sinclaira Lewisa, Upton Sinclaira, Dreisera, książki polskie o USA, i 4 rozdziały o Polonii amerykańskiej. Całość ujęć tych daje swego rodzaju panoramę problemów życia i cywilizacji amerykańskiej.

Tym samym torem poszły studia moje wienne o poezji amerykańskiej, ilustrowane dwoma tomami przekładów liryki amerykańskiej XX-go wieku. Przełożyłem m. in. całą „Spoon River Anthology” Edgara Lee Mastersona. Życiorysy i komentarze do tego zbioru, w którym odzwierciedlały się ideały aktualne w obecnie toczącej się drugiej wojnie, zajmowały mój czas i moją uwagę w tym okresie, kiedy Stany przystąpiły do wojny i zaczęły zwolna pokazywać swój lwi pazur. Byłem pilnym uczestnikiem tajnych sprawozdań wojennych jednego z redaktorów warszawskich, który śledził dokładnie poczynania Amerykanów na Pacyfiku. Gdy zaś wyładowali w Afryce, odechnąłem z ulgą: Roosevelt przybliżył się na dotykającą już metę, by dosięgnąć swego wroga nr 1, Niemcy.

Tragedia była w tym, że akcja szła zwolna, a w Warszawie bywało koźmarnie. Osobiście nie poniosłem strat. W pierwszej wojnie światowej zarówno ja, jak i moi sześciu bracia, było na wojnie, jeden z nich poległ w pierwszym miesiącu walk pod Verdun, dwóch dostało się do niewoli, reszta zносиła trudy frontu. W tej wojnie, wysiedleni, rozrzućeni zostali po całych Niemczech, zarówno oni jak i siostry, nie było jednak wśród nich krwawych strat. Ponosiła jednakże straty ta sfera, dla której pracowałem, swego rodzaju dalsza rodzina: młodzież szkolna. Coraz ubywało kogoś spośród młodych głów i przenikliwych oczu, które się wpatrywały w nas podczas lekcji. Tego rozstrzelano publicznie na ulicy, ten zginął na Pawiaku, ten w Oświęcimiu, owego wywieziono na roboty.

Prawdziwa katastrofa zdarzyła się w sierpniu 1944 r. Całe klasy chwyciły za broń. Tulając się przez dwa miesiące po piwnicach Warszawy, bezdomny i bez środków do życia, podczas powstania spotykałem ich co

chwila w grupach i plutonach. Z samych ostatnich dwóch roczników maturalnych naliczyłem 11-tu zabitych. Chłopcy po 16, 17—20, 21 lat. Inteligentni, zdolni, dobrzy chłopcy. Uosobienie patriotyzmu w najczystszej jego postaci. Symbol poświęcenia dla ojczyzny. Nie wiem, z jakim uczuciem spotkam się kiedyś z ojcami i matkami tych kochanych dzieci, tych jedynaków, tych prymasów, tych młodych Polaków. Dziwnie to brzmi, ale nie powinienem się nigdy w życiu już ani śmiać ani radować, pamiętając tych moich uczniów. Straciłem w powstaniu wśród znajomych przyjaciół-literatów jak Zofia Miszewska, zasypana pod gruzami z ojcem i matką na Mokotowie, wśród profesorów dra Stanisława Sawickiego, skandy nawistę, zastrzelonego następnie w piwnicy, również na Mokotowie, profesora Andrzeja Tretiaka i wielu, wielu innych, lecz pamięć o tych młodych istotach, które zginęły tak tragicznie, ściga mnie dotąd. Pamiętam ich doskonale, jak pochyleni nad ławą szkolną piszą pod dyktando wykład. Ten młodzieńcy, dziecięco wyglądający, zginął zasypany na ul. Świętokrzyskiej z 3-ma kolegami. Dawał pukaniem przez trzy godziny znać, że żyje. Ten z rogu klasy spalił się żywcem w bunkrze na Chocimskiej. Tego trzeciego, wyglądającego tak dziarsko, stratosowano w burzowcu podczas odwrotu ze Starego Miasta. Straszna litania.

Po powstaniu zatrzymałem się przez parę miesięcy na wsi koło Żyrardowa, dokąd uratowane zostały via Pruszków przez komisję do zabezpieczenia mienia kulturalnego miasta Warszawy, prowadzoną przez dra Lorentza i redaktora Antoniewicza, wszystkie moje rękopisy, komplet Przybyszewskiego, w tym oryginały 600 listów pisarza i wszystkie jego pierwodruki, jak i materiały zbierane w ciągu lat do monografii o nim.

Gdy mi się uda zorganizować szkolnictwo na Pomorzu Zachodnim, gdy będzie w terenie conajmniej 500 placówek i w każdym obwodzie bodaj jedna szkoła średnia, powrócę do mej pracowni naukowo-literackiej.

W młodej stolicy starego Pomorza

Na to spokojne, Bogu ducha winne, szeroko nad srebrnym kanałami i szmaragdowe Brdy rozłożone miasto — padł wybór Goebbelsa, gdy reżysersko przygotowywał najpotworniejsze swoje widowisko. Bydgoszcz miała przyspaść rola Antwerpii z pierwszej wojny światowej. Więcej: jej to łmie stało się hasłem do najokropniejszych zbrodni świata. W dniu trzecim września 1939 r. zaaranżowany został przez Niemców krwawy spektakl pod tytułem „Bromberger Blutsonntag” i następnie przy użyciu całej hitlerowskiej machiny propagandowej rozreklamowany na wszystkie strony świata. Szło o to, aby rzekoma krwawość Polaków usprawiedliwić przed światem i najazd niemiecki i wszystkie planowane lotostwa. Ten perfidny, łajdakił manewr kosztował Bydgoszczan jedenaście tysięcy ofiar. Mało tego. Udjęciana Bydgoszcz ogłoszona została — „Strafstadt” a „krwawa niedziela bydgoska” stała się hasłem inicjującym cały różaniec coraz to okropniejszych zbrodni — aż po niesamowite „rekordy”: Majdanka, Oświęcimia, Treblinka.

Okrutny był więc powód, który dał miastu nad Brdą światowy rozgłos. Do dziś, choć niedziela bydgoskie przestały już krwawić i znowu zieleńią się spokojnie w srebze kanałów — nie ma w atmosferze miasta jego dawnej, nefrasobliwej, nalwnej nieco pogody. Nalwnej, gdyż miasto — stopniem kultury artystycznej wiek mierząc, bardzo jest jeszcze młode. Mimo że jest stolicą przastaręj dzielnicy. Ale dodajmy zaraz — młodzieńką stolicą, boć dopiero od dni narodzin nowej Polski.

Przed okupacją pierwszym na Pomorzu miastem był Toruń. Piękny, dostojny, jednak nieco mały jak na potrzeby stolecznego grodu. Długoletni spór o prymat rozstrzygnięto po salomoniku: Toruń odda swój urząd wojewódzki Bydgoszcz a dostanie w zamian — uniwersytet. Stało się — i odtąd Pomorze ma swą stolicę nad Brdą.

Nie trudno Bydgoszcz przewodzić Pomorzu — gospodarz, trudniej natomiast przewodzić mu — kulturą. Szczególnie na polu kulturalnym dał się okupanci miastu najbardziej we znaki. Do szarych bówleń doprowadzał ich fakt, że to miasto właśnie, które w erze wilhelmskiej rozbudował szeroko, aby jego niemieckość przeciwstawiła skutecznie o-pornej polskości Poznania, że to miasto, w którego architekturze i atmosferze widzieć chcieli „mały Berlin”, że ono właśnie stało się jednym z najżywniejszych ośrodków polskości. Nie pomogły iluzoryczne i brzydkie, na modłę berlińską skrojone pseudotytki czy okropne i niestety tak gęsto reprezentowane okazy „Jugendstil” czy „secesji”. Nie pomogły szkoły jak koszar i koszary jak więzienia. Ani nawet pracownie i banalne pomniczyśka z obfitej kolekcji niemieckich „Edelkischów” z najwiękzym z nich „Potopem” na czele, w którym to monumente dał prof. Lepke imponujący zlepek najbarwniejszych berlińskich wzorów.

Aż dżiw, że w tym potopie pruskiego brzydactwa nie potracił tu Polacy resztek swego dobrego smaku. Uratowały im ten smak chyba tylko nieliczne i małe ale prześliznęły zabytki polskiego budownictwa kościelnego z XV, XVI i XVII w., którymi to klejnotami legitymowały miasto swą odwieczną polskości. Za tę polskości — na rynku miasta wymordowali hitlerowcy kwiat jego mieszkańców. Na tym samym rynku, na którym w roku 1657 spisano smutną pamięć traktat welawsko-bydgoski, zwalniająca elektorów pruskich od obowiązków składania hołdu królom polskim. W furii niszczenia, demaskująca brak jakiegokolwiek rozsądnej myśli urbanistycznej, zniszczyli kościółki oraz Muzeum Miejskie. Ocalała na szczęście skromna ale szlachetna bua, dowała, mieszcząca bibliotekę miejską. Zbiory jej w znacznej części ocalały, ponosząc jednak bolesne szkody przez stratę części biblioteki bernardyńskiej, zawierającej dzieła z XVII i XVIII wieku. Spłonęło kilkadziesiąt najstarszych pierwodruków oraz cenny zbiór autografów obejmujący dwa tysiące bez tytułu pozycji. W części uratowanej znajduje się szczęśliwym trafem rękopis „Roty” Marii Konopnickiej. Zachował się również, pochodzący z daru Grzymały-Siedleckiego, ciekawy księgozbiór Lenina, dziś przekazywany przez miasto Związkowi Radzieckiemu. Długoletni dyrektor Biblioteki Miejskiej, dr Witold Betza, powróciwszy z wygnania podjął już intensywną pracę nad ukończeniem uporządkowania zbiorów i ponownym zorganizowaniem pracowni naukowej.

Dzięki zapobiegliwości kustosa Muzeum Miejskiego Kazimierza Boruckiego uratowana została znaczna część zbiorów polskich z galerii miejskiej. Ale i tu straty są bolesne. Samych tylko dzieł Wy-

Mam do wykończenia „Angielską powieść parlamentarną z XIX i XX-go wieku”, zbiór esejów „Wizyta na plebanii”, trzeci tom „Listów” i last not least — „Życie i dzieła St. Przybyszewskiego”.

Jako wynik obserwacji poczynionych na Pomorzu Zachodnim ukaże się niebawem zbiór reportaży „W Piastowskich grodach Pomorza” i odpowiednik do tego, szkice popularyzno-historyczne „Polskość Pomorza Zachodniego”.

Rzeczy te są dalszym ciągiem moich zainteresowań regionalnych dotyczących Ziemi Zachodnich. Z tą różnicą, że w roku 1932 do 1936, pielgrzymując od osady do osady, zatrzymywałem się nad Notecią, dalej zaś wolno mi było tylko rzucić ciekawie wzrok za jej wody, teraz zaś poruszam się i działam po całej tej słowiańskiej krainie po Odrę i za Odrę.

Przeżył się są niezwykle, jedyne, właśnie ze względu na związki ziemi tej z macierzą. Kto od młodości żył w tradycjach historycznych, pielęgnowanych przez „Strażnicę Zachodnią”, przez prace Wojciechowskiego, Tymienieckiego, Rudnickiego, Widajewicza, Koczego i tylu innych uczonych, szczególnie z Poznania, ten nrzeżywa tutaj dziwne przegrupowanie pojęć, które nazwałbym westernizacją psychiki: nastawia się człowiek na Zachód, na Ziemię Odzyskaną, na Odrę i Bałtyk. Kompleks Piastów spycha to, co dotychczas miało prymat w naszych przeżyciach treści tradycyjno-historycznej.

Uważam, że jest to rewolucja naszych pojęć, odwrócenie się od energii kierunkowej Jagiellonów i nawiązanie do przeżyć społeczeństwa rdzennie etnicznego, polskiego. Nasze piśmiennictwo, sztuka, sprężyny myślenia i działania muszą zmienić się w tym uzachodnieniu, w tej westernizacji, z kategorią radycalizacją: w mej działalności literackiej zajmę się obszerniej tym zagadnieniem.

Uwzględnię to w pełni w swym nawrocie do prac nad Przybyszewskim. Uważam go za tego spośród naszych pisarzy, który najwięcej dorzucił do procesów psychicznych, tkwiących u podstaw kultury radzieckiej. Nie darmo pochłanianio masowo w latach 1901—1914 jego dzieła w Rosji. Z jego fartucha padło tam niejedno ziarno, które dziś przynosi owoc.

Stanisław Helsztyński.

czółkowskiego spłonęło, w dniach odwrotu Niemców 425, a nadto długi szereg płócien: Matejki, Orłowskiego, Kotsisa, Billińskiej, Brandta, Bożnańskiej, Pankiewicza i wiele innych. Te zaś dzieła sztuki, które szczęśliwie ocalały, spoczywały do tej pory w skryżniaku w — lombardzie. Tam aż wędrowały z braku innej, w przedludnym वाले mieście, śledziły. Czas, wielki czas, aby wreszcie skończyło się jednak „lombardowanie” skarbow tak bardzo potrzebnych wygłodzonym polskim oczom. Bo tu głos sztuki większy jest, aniżeli gdziekolwiek indziej. Tu przecież Smętek pomorski szalał tak, że nawet w ścieple nie wolno się było słowa polskiemu ujawnić. Toteż słusznie uczynił bydgoski zespół teatralny, z dyr. Aleksandrem Rodziewiczem na czele, postanowiwszy z żywym słowem polskim nie czekać aż do chwili odbudowy spalonego przez Niemców teatru. Ulokowała się brań aktorska w niedogodnym szopie i — mimo wszystkie niedogodności — gra. Wystawiono już m. in. „Zemstę”, „Fannę Malczewską”, „Wesele Figara”, Fodora „Maturę”, Morozowicz-Szczepkowskiej „Walący się dom”, a w próbach jest „Dzień jego powrotu” Nalkowskiej. A publiczność także robi swoje. Co wieczora wędruje na niedogodny koniec miasta i wypełnia widowisko po brzegi.

Z takim samym zapałem odnosi się społeczeństwo bydgoskie do wieczorów autorskich organizowanych przez Klub Literacko-Artystyczny. I dlatego, mimo niesprzyjającej pory letniej „Srody literackiej” odbywają się tu bez przerwy. Wzięli w nich do tej pory udział: Stanisław Boruń, Janina Derynżanka, Konrad Górski, Zygmunt Felczak, Franciszek Grott, Józef Kolodziejczyk, Alfred Kowalkowski, Tadeusz Łopalewski, Józef Maślński, Jan Plechoczek, Jerzy Remer, Marian Turwid, Krystyna Wrochno, Stanisław Złemak, Eugeniusz Zytomirski. Działalność Klubu byłaby jeszcze żywsza i bardziej wszechstronna, gdyby nie brak własnego, odpowiedniego lokalu. Na szczęście brak ten nie będzie już długo literatom, plastynom i muzykom dał się dotkliwie we znaki. Zarząd miasteczka oddał do dyspozycji pomorskich związków artystycznych gmach b. niemieckiego „kasyna cywilnego”. Wzniesione w samym centrum miasta „Zwilkasino” było ongi jedną z głównych kwater Smętka. Dziś stanie się „Domem Sztuki”.

Nareszcie przestanie być sztuka polska na Pomorzu — bezdomna. Wielki czas czekała na ten swój własny kąt. Wprawdzie nie ma to być siedzibą jeszcze włozy pracy, aby gmach przystosować do jego nowych potrzeb, ale rzecz warta zachodu. Na najdłuższe w gmachu i przestronna sala koncertowa i wykładowa i lokale na czytelnicy i pracownie naukowe i malarskie (w których umieścił się Szkoła Sztuk Plastycznych) i stała sala wystawowa. Ani Szkoły Sztuk Plastycznych, ani stałego Salonu Wystawowego, ani odpowiedniej Sali Koncertowej nie miało Pomorze dotąd nigdy. Koncertujący tu ostatnio Stanisław Szpinalski, Wacław Lewandowski i Jerzy Stefan Musiel się uciekać do gościnny teatru. Podobnie i plastyka tułać się musiała po różnych, przeważnie zupełnie nieodpowiednich kątach. Trudno było oczywiście w tych warunkach myśleć o planowej akcji propagowania sztuki, o jej rozpowszechnianiu i demokratyzacji. Z zadręciami patrzyli artyści na piękną ścieżkę rozgłosu bydgoskiej. Z zadręciami, ale bez zawisł, gdyż kierowana przez dyr. Kafńskiego bydgoska placówka Polskiego Radia summiennie wywołuje się z ważkiego zadania szerzenia tutaj kultury artystycznej. Cenny to sukurs i walor jego jeszcze wrodzone, gdy w przestronnym Domu Sztuki, w którym dość będzie miejsca dla wszystkich, zgospodruje się życie kulturalne całego Pomorza. Na niedaleką już przyszłość przygotowuje Związek Polskich Artystów-Plastyków pierwszy przegląd prac współczesnej plastyki pomorskiej. Muzeum Miejskie zapowiada pokaz bogatej kolekcji grafiki Leona Wyczołkowskiego. Obie te ekspozycje poprzedzi wystawa związana ze sprawą „krwawej niedzieli bydgoskiej”. Będzie zadaniem tej wystawy potwornemu hitlerowskiemu oskarżeniu przeciwstawić — fakty. Fakty, które na warsztat swój weźmie niebawem uczony polski, jak je już wzięł literat, jak je wyczuł publicysta. Wanda Karłowicz, na tie swych przeżyć z pierwszych dni wojny w Bydgoszcz, napisała sztukę „Ziemia oskarża”. Józef Kolodziejczyk pu-zapoczątkował szereg prac poświęconych wstrząsającemu dniom spokojnego miasta nad Brdą, którego imię stało się jednym z najgłośniejszych symbolów straszliwego hitlerowskiego terroru.

Marian Turwid

Zjazd Związku Kompozytorów Polskich

Pierwszy w odrodzonej Polsce Zjazd Kompozytorów odbył się w dniach 29 sierpnia do 2 września. Zjazd ten był wielką manifestacją naszej, o świata muzycznego. Do Krakowa zjechali kompozytorzy ze wszystkich stron Polski: z Warszawy (Ekier, Lutostawski, Perkowski, Rytel, Wieniawski, Wojtowicz), z Gdańska (Turski), z Lublina (Szeligowski, Wielhorski), z Poznania (Kassern, Wiechowicz), z Łodzi (Baciewiczówna, Sikorski), z Katowic (Różycki). Wielu z nich zaprodukowało też swa nowo powstałe w okresie wojennym utwory, a duża ich lista świadczy o tym, że w Polsce w latach ostatnich wiele się w tej dziedzinie zmieniło. Nie jest to bynajmniej frazesem, gdy powiemy, że wyniki festiwalu były imponujące, tak pod względem ilości pierwszych wykonaw, jak i pod względem poziomu reprezentowanych tam kompozycji. Nie wlemy jeszcze dokładnie, jak wyglądał muzyczny do-rodek wojenny innych krajów europejskich (dokładniejsze dane posiadamy tylko o Rosji, gdzie twórczość wojenna przedstawia się też bardzo bogato).

Po śmierci Karola Szymanowskiego, który „prawie tak samo jak niedługo Chopin, zabłysnął wśród twórców „Modeli Polski” genialnym talentem nie znalazłszy dla siebie przygotowanego gruntu w kraju i sam jeden prawie odraabiać musiał stuletnie niemal zaletę (współpraca Karłowicza trwała niestety zbyt krótko), ruszyło się co wprawdzie w nowej muzyce polskiej, ale nie była to wciąż jeszcze twórczość o wyraźnej ideologii artystycznej. Pojawiały się talenty, niejednokrotnie nawet wybitne, ale o orientacji tak różnorodnej, o światopoglądzie artystycznym tak zróżnicowanym i zindywidualizowanym, że nie głębszej spójni wewnętrznej nie mogła się między nimi zawiązać. Były to poszczególne, oddzielne wysiłki raczej, niż całość o wspólnej swoistej fizjonomii. Składało się na to wiele przyczyn: przede wszystkim różność tradycji w poszczególnych ośrodkach polskich, która przetrwała jeszcze z okresu zakorów, brak odpowiednich aparatów wykonawczych (poza jedną może Warszawą) i — co najważniejsze — brak wybitniejszych pedagogów, którzy potrafiliby stworzyć szkołę (ani Noskowski, ani Zelenki, ani Stańkowski, choć mają niewątpliwie duże zasługi pedagogiczne i wydalili wielu wybitnych uczniów, nie mieli jednak odpowiednich danych na to, by stworzyć szkołę).

Praca dwudziestu kilku lat okresu międzywojennego trwał, choć na razie nieczyt jeszcze efektywnie przyczyniła się do poprawy i normalizacji stosunków. Antagonizm dzielnicowo ustępowy zwolna miejsca wzajemnemu porozumieniu, klasna i wąska jeszcze zawsze w swym zasięgu kultura muzyczna przygotowywała w poszczególnych ośrodkach i kształciła aparaty wykonawcze, a konserwatorium warszawskie, ześrodkowujące najlepszych artystów i pedagogów, zdobyło znaczenie czołowej placówki pedagogicznej, promieniującej wpływami na cały kraj. Przez konserwatorium to, a specjalnie przez klasę Kazimierza Sikorskiego, przeszli wszyscy niemal nasi młodzi kompozytorzy, którzy dziś zdobyli sobie już lub zdobywają nazwisko.

Fakt ten na pozór czysto zewnętrznej natury, miał okazać się na przestrzeni tych dwudziestu lat momentem niezmiernie doniosłym. Nasi młodzi muzycy zdobyli tam nie tylko świetną znajomość rzemiosła, której nie potrzebowali już znowu za granicą i to rzemiosła w znaczeniu jak najbardziej współczesnym. Szkoła ta stała się dla nich kolebką wspólnego stylu. Tego czegoś nieuchwytnego i nie dającego się dokładnie sprecyzować, co sprawia, że poprzez najbardziej indywidualne różnice wyczuwa się wspólny stosunek twórcy do materiału, do formy, jakąś więź wewnętrzną spajającą środowisko.

Właśnie festiwal krakowski pokazał, że taka więź między współczesnymi kompozytorami polskimi istnieje, że jeżeli nie wytworzyliśmy jeszcze wspólnego narodowego stylu polskiego, to w każdym razie jesteśmy na drodze do jego wytworzenia. Ostatni etap twórczości Karola Szymanowskiego — oto punkt, do którego nawijała ten rodzący się dziś współczesny polski styl muzyczny.

I dlatego słuszne jest z punktu widzenia organizacyjnego, że Związek Kompozytorów Polskich wyodrębniony został ze Związku Muzyków Zawodowych jako samostanna organizacja o własnych założeniach ideowych. Fakt ten podnosi jeszcze bardziej ważność tych założeń i akcentuje na zewnątrz zadanie społeczne, które kompozytor polski ma do spełnienia w obecnej chwili. Zejście z dawnej elitarniej postawy, zbliżenie się do życia i do szerzycy warstw słuchaczy, upowszechnienie przeżyca estetycznego związanego z muzyką — oto według deklaracji uchwalonej na Zjeździe główne zadania kompozytora. Problem upowszechnienia muzyki polety jest przy tym inaczej, niż to rozumiało pokolenie przedwojenne. Twórczość muzyczna nie może dzielić się na sztukę poważną, przeznaczoną dla wtajemniczonych po fachu i na sztukę lżejszą „dla mas”, specjalnie na ich użytek stworzoną pod kątem widzenia łatwości i zrozumiałości. Każdy człowiek ma prawo do sztuki najlepszej i tylko ta najlepsza sztuka będzie dla niego wzbogacaniem życia i rozszerzeniem horyzontów, które w niej pragnie znaleźć.

Stefania Łobaczewska

W obozach

St. Skowron, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wspomnienia z pobytu w Dachau. Organizacja pracy „naukowej” w obozie. Kraków, St. Kamiński, 1945; str. 32.

Prof. Skowron należał do tych krakowskich uczonych, którzy nie zostali zwolnieni w Sachsenhausen, lecz przebywali jeszcze czas dłuższy w koncentracyjnym obozie w Dachau. Nie to jednak daje mu impuls do spisania wrażeń i przeżyć. Z ujmującą skromnością redukuje je do przyrodzonych rozmiarów, bo „coż znaczą nasze przeżycia wobec uplonych scen, znanych z opisu Oświęcimia, Majdanki, wobec katuszy, zadawanych kobietom i dzieciom, wobec wiwiesekji, dokonywanych z złymym bestialstwem przez katów-profesorów niemieckich wyższych uczelni!”

Jego zamiarem jest oświetlić mały kątek obozu, niekompetencję, błagę i pozerstwo „naukowych poczynają”, uprawianych w Dachau pod wysokim patronatem dostojników partyjnych i samego Himmlera, a przez to podwazyć rozpowszechnione pojęcia o talencie organizacyjnym i fachowości Niemców. W dziale biologicznym „wissenschaftliche Abtelung” w Dachau meteorologia zajmował się astronom, wykresy sporządzał prawnik, wyniki badań referował psycholog, a historyk dr Piwarski wysnuwał „daleko idące wnioski co do wpływu ciepłoty gleby na rozwój systemu korzeniowego maderanku”. Z humorem opisane są „prace” tej grupy, które nosły wszelkie cechy nieuctwa i szarlatanerii. Bystry i wrażliwy obserwator widzi sprawy sięgające poza pseudonaukowe zajęcia, traktowane zarówno przez więźniów, jak i strzegących ich Niemców jako pokrywkę dla przetrwania ciężkiego czasu. Jest „rewir”, tj. makabryczny barak szpitalny, są widowiska sceniczne i widowiska, które polegały na publicznym biciu więźniów. Są sylwetki kilku Niemców, zarysowane z grubszą ale plastyczną. Nade wszystko są w małej broszurce uchwycone realistycznie elementy życia i nastrojów zbiorowiska, zeganego wszędad, gniebionego przez ludzką i bezduszną dyscyplinę terroru.

Jest pomimo to i właśnie wbrew temu świadomość, wnień oddana, a wspólna wszystkim więźniom, w najrozrozszych nawet chwilach, że systemat gwałtu toczy się nieuchronnie w katastrofę i zbawienie leży w przetrwaniu.

Józef Sieradzki

Kronika kulturalna ZSRR

WYSTAWA LERMONTOVA W MOSKWIE

Jeśli wierzyć w gwiazdy szczęśliwe lub niefortunne w chwili urodzenia się człowieka — a ongi przecież i ludzie bardzo tegłego umysłu, jak np. Kopernik, skrzętnie się astrologią zajmowali! — to znakomity poeta rosyjski Michał Lermontow (1814—1841) stanowczo urodził się pod gwiazdą nieszczęśliwą, która przez całe życie go prześladowała, a nawet go śmierci dawała się we znaki. Nie mówiąc już o jego zgonie tragicznym w młodym wieku, w rozkwicie sił twórczych, i to w pojedynku z blagiego powodu, ani o jego latach dziecięcych, spędzonych u arostokratycznej babki Asseniewowej, ani o przesładowaniach administracyjnych, to gwiazda feralna dwukrotnie obracała w niwecz nawet świętowanie jego pamięci.

Gdy latem 1914 r. cała Rosja przygotowywała się do uroczystego obchodu urodzin poety, a w Moskwie, jego miasto rodzinne czekała otwarcia światła wystawa jubileuszowa, wybuchła pierwsza wojna światowa, i uroczystości lermontowskie zostały zaniesione. To samo powtórzyło się w stuletnią rocznicę śmierci poety w r. 1941, w chwili napadu armii hitlerowskiej na Związek Radziecki.

Dopiero obecnie wystawa, poświęcona drodze życiowej i twórczości Michała Lermontowa została wznowiona w stolicy radzieckiej w pięciu salach Muzeum Literackiego.

Wrażenie ogólne imprezy jest dodatnie. Wędrowka po wystawie doskonale zaznajamia z różnymi okresami życia poety. W rękopisach, wydaniach książek i ilustracjach dano wyczerpujący obraz jego twórczego polotu od utworów młodzieńczych aż do dojrzałych. Moc tu w oryginalnych lub kopiach fotograficznych ciekawych materiałów ikonograficznych, epistolarycznych i pamiątkowych, zapożyczonych z publicznych zbiorów stolicy oraz z muzeów szeregu miast ZSRR. Szczególnie pociąga także artystycznie cenna część ikonograficzna wystawy: portrety Lermontowa, najbliższych członków jego rodziny, przyjaciół, znajomych i osobistości, z którymi poeta się stykał.

Jednak i tutaj, wśród hojów, złożonego pocie przez potomność, myśl o niefortunnej jego gwiazdzie przychodzi do głowy. Lermontow był blegim rysownikiem i niektóre jego szkice zbliżają się prawie do utworów zawodowego artysty. W każdym razie poeta rosyjski należy do grona pisarzy-rysowników, u których — że nazwę tylko Goethego, E. T. A. Hoffmanna, Victora Hugo, lub Norwida — twórczość poetycka ciekawie się przeplata ze sztuką plastyczną. Otóż pewne zdziwienie wywołuje fakt, że liczne szkice Lermontowa nie doczekały się jeszcze wydania w oddzielnym albumie, ani też studium specjalnego lub chociażby wyczerpującej inwentaryzacji, której już poddano rysunki piórko-we Puszkińska, zapewniające marginesy jego rękopisów.

Zato, przynajmniej wypadła, bardzo pomyślnie wypadła ilustracja utworów Lermontowa. „Bohater naszej doby” już dość dawno doczekał się ilustratora w osobie Węgra Michała Zichy (1829—1906). Zichy przez wiele lat pracował w Petersburgu na dworze Mikołaja I i dobrze znał tu i typy kaukaskie, wprowadzone do opowiadań i noweli tego zbioru lermontowskiego. Rysunki Zichy'ego w r. 1938 ukazały się znowu w pięknym wydaniu radzieckim „Bohatera nowej doby”. Można też wskazać kilku jeszcze artystów rosyjskich, którzy wykonali bardzo udane ilustracje do różnych utworów poety.

Prym tu dzieje bezspornie rysunki Michała Wrubela (1858—1910) do „Demona”, ślicie kongenialny akompaniament graficzny do romantycznego poematu Lermontowa. Wrubel ze swym temperamentem romantycznym, który może sprowadza się do jego napoju polskiego pochodzenia, to postać zupełnie odrębna w sztuce rosyjskiej, nieczym nie związana z jej ruchem współczesnym. Temat fantastycznego demona niejednokrotnie powtarza się w jego własnych kompozycjach malarskich, więc poemat Lermontowa trafił na pokrewny nastrój.

Nawet liczne wydania ilustrowane „Eugeniusza Oniegińa” nie doczekały się jeszcze mistrza tej miary co Wrubel w lermontowskim „Demonie”.

MUZEUM F. TIUTCZEWIA

Cicho, bez wszelkiej pompy jubileuszowej minęło 25-lecie pięknego muzeum literackiego w najbliższym sąsiedztwie stolicy radzieckiej, Muzeum im. F. Tiutczewa w Muranowie. Muranowo było niegdyś skromną, wiejską siedzibą rodzową poety epoki puszkińskiej Eugeniusza Baratyńskiego (1800—1844). Niewielki dom drewniany w Muranowie zbudowany był według własnego projektu Baratyńskiego, którego szereg wierszy związanych jest z tą miejscowością. Tu gościł podobno Puszkin, później Gogol i Aksakowicze. Muranowo przeszło w schedzie do rodziny poety Floroda Tiutczewa (1803—1873) i zostało własnością jego syna.

Dzięki staraniom wnuka poety, Mikołaja Tiutczewa, w r. 1920 muranowski dom został przeznaczony na Muzeum im. F. Tiutczewa, a inicjator wyposażył je w stylowe umeblowanie i pamiątki rodzinne i mianowany został dożywotnim kuratorem, którym dotąd pozostaje. Prawnuk poety, młody historyk literatury, K. Pigarew, opracowuje spadek pradziadka.

Wbrew nazwie domek bynajmniej nie ma specyficznie muzealnego charakteru. Jest to raczej dom zamoznego poety-ziemianina, gustującego w przedmiotach stylowych, zapamiętany portretami oraz pamiątkami. Przechowywane w muzeum nader cenne materiały literackie tylko w małej części wystawione są w gablotach. Pokaz ich na szerszą skalę odbywa się podczas wystaw pamiątkowych.

Intymny powab zewnętrznego urządzenia muzeum muranowskiego, nie gasnąca popularność twórczości subtelnego poety, jakim był Fiodor Tiutczew, i malownicze położenie poetyckiej siedziby ściga letnią porą do Muranowa zastępy wycieczkowiczów.

JUBILEUSZ AKTORSKI

O pendant do niedawnego jubileuszu Ludwika Solskiego nie łatwo, bo 90-letni aktor to w ogóle rzecz niecodzienna, a 70-letnie nieprzerwanej twórczości scenicznej jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym. Podobna, choć mniej imponująca uroczystość odbyła się w Moskwie na scenie Teatru Małego z okazji 50-lecia gry aktorskiej Prowa Sadowskiego, jednego z filarów tej najdawniejszej sceny moskiewskiej, która w ubiegłym stuleciu zajmowała najprzedniejsze miejsce w rosyjskiej sztuce teatralnej. Osobliwość tego obchodu leży nie tylko w tym, że jubilat urodził się prawie w tym samym czasie, gdy Solski rozpoczął swą karierę aktorską — przez pół stulecia grywał na jednej i tej samej scenie, ale że na niej, jako gwiazdy pierwszorzędne, jasniały nazwiska jego rodziców oraz dziadka. Protoplastą dynastii był znakomity Prow Sadowski starszy (1812—1872), przyjaciel znanego dramaturga Ostrowskiego i niezrównany pono odtwórca realistycznych typów w komediach tego autora. Nie mniejszym talentem odznaczał się syn jego Michał Sadowski (1847—1910), który wraz z małżonką Olga Sadowską (1846—1919) cieszyli się ogólnym powodzeniem i należeli do najbardziej popularnych aktorów Teatru Małego, gdy blask jego jeszcze nie został przyćmiony nowatorskim duchem teatru Stanistawskiego. Widywałem małżonków Sadowskich w rozmaitych sztukach i rolach i nie pamiętam wypadku, by kiedykolwiek rozczarowali. Zawsze ujmowali inteligentną grą, artystycznym umiarem i subtelnym humorem.

Tych przedstawicieli trzech pokoleń aktorskich łączy pewien wspólny rys. Wszyscy oni to artyści komediowi w najlepszym znaczeniu wyrazu, którym obcy był polot romantyczny lub napięty dramatyzm. Celowali w rolach charakterystycznych swego repertuaru, zaczerpniętych z głębi narodu.

Paweł Ettlinger

Wszystkie wydawnictwa, nadsyłane do redakcji, będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek, nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach.

Wyznania referenta

Co jakiś czas zbieram się do napisania takiego artykułu, który by wstrząsnął szpaltami „Odrodzenia” jak bomba atomowa. Powiedziałbym w nim, co właściwie myślę wtedy, kiedy myślę, jaki jest mój stosunek do reformy prawa małżeńskiego a jaki do konkordatu, co właściwie sądzę o Anglikach działających na terenie Paderborn, a co o synach Albionu działających na terenie Dodekanazu, jakie na mnie robi wrażenie bomba atomowa a jakie przyjazd Eisenhowera, co myślę o „Twórczości”, a co o „Kuznicy”, dlaczego „Życie Literackie” nie odpowiada odrodzeniu, „Odrodzenie” życiu — i co właściwie myśli szary człowiek o „Tygodniku Powszechnym”?

W tym celu codziennie zapiram się w złośliwościach. Pocieram pióro o najjadowitsze ustępy w artykułach Artura Sandauera, ćwiczę się w subtelnościach polemicznych Kotta i Jastrunę i całymi godzinami wpatruję się w portret arcybiskupa Sapiehy. Potem wzorem przybranego ojca hitlerizmu Nietzschego, zanurzam obydwie nogi w zimnej wodzie i jestem gotów.

Już czuję się niesionym na rękach bezżenego ludu, już jestem pierwszym cywilnym małżonkiem, już podobnie jak miss Chesteron, półgębkiem odpowiadam na zapytania specjalnego wysłannika „Tygodnika Powszechnego”, przyjmując gratulacje od nieślubnych matek, udzielam amnestii wszystkim wolnym miłośnikom, ale cóż? Marzenia moje przerywa pojawienie się montera, który wręcza mi dokument tej treści: „Adam Swoboda Biuro Instalacyjne Wodociągów Gazu i Centralnych Ogrzewań. Naprawa: założę 2 miski klozet na I i III p. Opis roboty: zaorzyłem nowy klozet na czeciem piętrze z dodaniem 4 śrub do przykręcenia deski siedzeniowej Na pierwszym piętrze wybiłem deskę spod klozetu zaorzyłem nowom na cemencie” itd.

Jestem bowiem, mówiąc prywatnie, człowiekiem pracy. Spełniam z ramienia Zarządu Związku Literatów funkcje gospodarze i z tej przyczyny czynności te przeszkadzają mi w zajęciu należytych postawy wobec świata. Zdobywam mnóstwo wiedzy technicznej, zyskuję na doświadczeniach, język mój zyskuje na soczystości, przygotowuję się do zbiorowej biografii „30 wieściców”, posiadam rozległe znajomości handlowe w odległych zakątkach Rzeczypospolitej, znam całą skomplikowaną aparaturę Wydziałów Apropozycji i Handlu, za pan brat jestem ze stróżami gminnymi, szoferami i ich kumami, ale nie mam czasu na mocne spojrzenie czasem w oczy.

Życie tak różnorodne w obecnym krzyżowaniu epok, ucieka ode mnie szparami chwili.

Niedawno przez jedną ze szpar uciekł męczycyna imieniem Mazin. Jego rysopis, tak słabo przez nas znany z opowiadań klientów Wydziału Apropozycji, że władze były zmuszone uprzytomniać nam jego szczegóły w listach gończych, zatarał się zupełnie w mych słabych oczach.

Dotychczas nie znalazłem czasu, aby szparę po bohaterze zabić odpowiednio silną deską od siedzenia. Ba, nie znalazłem na to czasu.

A szkoda, gdyż przedstawiciele ludu dodaliby przed czasem śrubę do przykręcenia, założyliby ją na cemencie bodaj w wysokości III p., aby było widać, i na pewno założyliby nową dla następców tronu. Niestety życie gospodarze na pewno nie pozwoliło mi tych zabiegów ułatwić.

Bo życie gospodarze przeszkadza nam, obywateli czytelnicy. Przeszkadza nam trwałe. Krzyżuje szyki naszych koncepcyj. Wielkie, dalekosiężne biegi naszych myśli skracają do odległości pomiędzy powierzchnią zelówki a spodem przeproy. Piękne ogólnoludzkie idee naszych serc macza w szarym sosie stołówek, w niwecz obraca nasze tęsknoty. Stąd drażni nas świat. Sami nie zdajemy sobie sprawy, jak drażni nas, konsumentów, świat.

Trują nas wizje stołów, trują nas wizje wygod. Dręczy nas widok odpasionych „demokratycznych” jegomości o potrójnych podbródkach, dręczy nas widok młodzieży z czelną, upudrowaną gębą. Nie możemy spokojnie przejść obok czupiradeł wałęsających się w białych, hitlerowskich półpończoszkach, nie możemy spać na myśl o ich bogatych wujach z Zachodu. Na widok jeźmoci dźwigającej szczegóły, jak nam się zdaje, suted, jutrzejszej biesiady spoglądamy niby obojętnym okiem, ale kulinarny jad, przesadzający się z tłumoką w nasze dusze, osadza się jak grynszpan na brzegach naszej osobowości. Znieprawia nas, mimo że w tłoku jejmości niesie nieraz brudne ręczniki. Zre nas, wielkoduszów. Ba, żreją nas nawet nasze własne odbicia w lustrze.

Chcielibyśmy, niecierpliwi, wejść już z nogami na wystawę, rozprześć się w górach czezej, blagiej wędliny, zatopić łaknące usta w wyrobach, przeznaczonych dla niepowołałych gęb. Nie wydałaby się nam wtedy trywialną żadna szczerza poza. Każdy pospolity ruch byłby wreszcie tylko naturalnym odruchem potrzeb. Znamy tę wyzwalającą radość z okresu upodzielniczenia mienia państwowego. Stoł ona zbyt daleko od konwenansu, aby miała nie oszalać. Nie jest nawet wykwinna. Nie posiada wcale epitetów. Ona jest poza...

Ale nie bądmzy zbyt niecierpliwi. Kiedyś jak waleczny obrzym Gargantua, będziemy karmieni łopatami musztardy. Będą do naszych ust dowozić rollwagi strawy. Poic nas będą hydrantami orzeźwiających płynów. Kropli nas będą hycopami słów. Będziemy znowu chodzić w wymyślonych, miękkich szatach jak pawie. Będziemy się kąpać w mleku oślic jak rzymskie cesarzowe. Skronie nasze otoczą wiankami dziewczątka starsze od Beatrycy, ale młodsze o siedemdziesiąt lat od Ninon de Lenclos. Będziemy wybuchać śmiechem jak „katusze”. Jenó rozejdmzy się nieco po naszej Rzeczypospolitej.

Nawołujmy się, ludzie pod jasnym lazurem, chórem w świąty spójrzimy, zatrwożmy się chórem! Miłość wichrem rozpedzona, wszystko zamiecie i pokona. Zaś tych, co się sprzeziwją w śnie skrępuje sznurami! A opasmy świat cały ćciłym korowodem. Aby nam się nie wymknął schwytny niewodem... Zapląsamy, zaśpiewamy, Pleśnią sobie wspomagamy. Toć wejdzimy w świat — próżnią aby wyjść — ogrodem!

Kiedyś przyszedł do Związku pewien starszy petent w drewniakach. Po trzykroć zażywał, czy pisarze otrzymają wreszcie buty z UNRRY, czy nie. Petent po trzykroć otrzymał odpowiedź, że po pierwsze nie, bo wpiery ciężki przemysł, po drugie, że nie, bo wpiery złóбки, i po trzecie, że nie, bo „nie!” Na to petent odpowiedział, że słusznym gniewem, że jeśli nie, to nie. To on wyjedzie stąd!

I dotrzymał słowa. Wyjechał. Teraz nawołuje się ekonomicznie na Zachodzie.

Kto wie, czy nie od niego otrzymałem parę butów, z których jeden jest o dwa numery większy od drugiego.

Zygmunt Fijas

Studium nieczystej wody

Aleksandra Bigay-Mianowska. Społeczeństwo polskie w twórczości Elizy Orzeszkowej. Kraków, St. Kamieński, (1945); str. 191 i 1 nl.

W studjach nad literaturą polską, które prowadzone będą w naszej nowej, powojennej rzeczywistości, szczególnie intensywnych badań wymaga okres zwany pozytywizmem, a przede wszystkim pozytywistyczna powieść. Jest to może jedyny okres realizmu w naszej literaturze, tak skąd inąd z ducha swego (zgodnie z polską strukturą psychiczną) romantycznej, w dobrym i złym tego słowa znaczeniu. Realizmowi temu zresztą daleko do właściwego realizmu w sensie zachodnio-europejskim z połowy XIX wieku. Nie mieliśmy nigdy swojego Balzaca ani Flauberta. Nawet najbardziej reprezentatywny nasz realista Bolesław Prus, to w gruncie zakapturzony romantyk, który w chwili największego tryumfu realistycznej trzeźwości potrafił wyszeptać swoje nieprzejednane „non omnis moriar”. Nawet Eliza Orzeszkowa, wzór racjonalizmu pisarskiego i socjologicznego, niemal ścisłości rysunku, zdobywa się na romantyzm w swej przekomarzającej „Gloria victis”. Potowicznosc naszego realizmu ma swoje uzasadnienie w potowicznosci form gospodarczych, które w warunkach zaborczych nigdy nie mogły przybrać kształtów określonych tak wyraźnie na Zachodzie, dzięki działającym tam bez

wewnętrznych hamulców siłom społecznym. Nie było u nas proletariatu przemysłowego, nie było mieszczaństwa, była szlachta i to już w stanie rozkładu.

Tym więcej uwagi należy poświęcić pisarce, która — nieleżni — brał na siebie robotę wykonywaną gdzie indziej przez całe szkoły. Eliza Orzeszkowa jest jednym z tych niewielu autorów, którzy swoją zdolnością obserwacji, uczelnym przedstawianiem prawdy społecznej, częściowym — rozjaśniali mrok tak wygodne dla rozmaitych kępskich nieraz szariatówom mistyki i mistyfikacji romantycznej. Jeśli do tego dodać głęboki humanizm i szczerą postępowość, to zrozumieć jak aktualna może stać się dzisiaj jej postać i twórczość. Jak bardzo potrzebna byłaby książka o tej przedstawicielce polskiego realizmu i polskiej demokracji z drugiej połowy XIX wieku.

Nie jest taką książką w żadnym wypadku wydana obecnie praca Aleksandry Bigay-Mianowskiej. Jest to raczej szkolny elaborat na zadany temat, solidnie wypracowane, moźolnie zebrane materiały, bez jakiegokolwiek twórczego przekonstruowania. Autorka bardzo starannie zajęła się wyszukaniem oraz posegregowaniem źródeł, wniosła parę ciekawych szczegółów i danych faktycznych, jak np. w spra-

wie uwłaszczenia chłopów przeprowadzonego przez rząd carski w 1864 roku. Ale na tym też koniec. Bigay-Mianowska stara się z góry uprzecznić zarzuty, zaznaczając „od autora”, że książka jej „nie jest i nie miała być nigdy czystej wody studium krytyczno-literackim”. Istotnie, jeżeli jest nim, to chyba bardzo nieczystej wody. Mechaniczna analiza polegająca na pedantycznym i drobiazgowym zestawieniu cytatów, uporządkowanych schłodnie według ustalonej dyspozycyjnej recepty — nie może zadowolić nowoczesnych wymagań wiedzy o literaturze, nawet jeżeli temat opracowany jest wyjątkowo pod kątem widzenia genetycznym czy historyczno-literackim.

Jak bardzo trudno autorce poradzić sobie choćby nawet ze zwyczajnym układem materiału (mimo pozorowej jego przejrzystości) — dowodzi fakt, że wielokrotnie dokonuje na samej sobie plagiatu, powtarzając po kilka razy te same stwierdzenia, te same spostrzeżenia niemal w tych samych słowach. Np. na str. 24, w opisie „małych ludzi” Orzeszkowej powtórzono z niewielkimi zmianami stylizowanymi to samo, co w analizie „kobiety” Orzeszkowej. Takich przykładów można by wskazać więcej.

Gorzej, że Bigay-Mianowska w pewnym sensie poprawia Orzeszkową. Wyrzuca bowiem z jej dzieła jedną z najcenniejszych kart wielkiej humanistki: kartę żydowską. Bigay-Mianowska widocznie niezadowolona jest z tej strony działalności swej pisarki, wobec tego udaje, że o niej nie wie. Dla niej nie istnieje ani „Meir Ezofowicz”, ani takie nowele jak „Samson”, „Gedań” lub rozprawka „O Żydach i kwestii żydowskiej”. Przepuszczenie można, że powody tej rezerwy uzasadniałaby autorka (pomijając najistotniejsze zapewne, intymne przyczyny) tytułem swej pracy: „Społeczeństwo polskie w twórczości Elizy Orzeszkowej”. Skoro „społeczeństwo polskie”, to po cóż omawiać to, co Orzeszkowa pisała o Żydach? Zydzi przecież do społeczeństwa polskiego nie należą. Szkoda tylko, że autorka doczeka do polskiego społeczeństwa tych wszystkich chłopów z okolic Grodna, znan Niemna, tych Dziurdziów, Telezuków, Harwarów, Chwedorów, którzy przecież nie są bynajmniej przedstawicielami chłopstwa polskiego, ale — białoruskiego. Sama Orzeszkowa zdawała sobie sprawę — choć naturalnie ze względu na czas i na swe środowisko literackie — niezbyt jasno, z odrębności narodowych ludu białoruskiego a także i ukraińskiego, jak o tym świadczy jej korespondencja z wybitnym pisarzem ukraińskim Iwanem Franko. Ale dla Bigay-Mianowskiej Panas Telezuk należy do społeczeństwa polskiego, natomiast nie należy doń jedna z najpiękniejszych postaci literatury polskiej i jeden z najszlachetniejszych typów polskiego Żyda — Meir Ezofowicz.

Z tym wszystkim omawiana praca, z uwagą na staranne zebranie materiału, może być dla szkolnych studiów nad Elizą Orzeszkową przydatna. Te same usługi może oddać zebrana na końcu bibliografii. Warto by jednak na jej marginesie zaznaczyć, że Boy, którego cytuje autorka — miał na imię Tadeusz, a nie Władysław (Zelenski), który był jego ojcem, znanym kompozytorem.

Henryk Vogler

KOESPONDENCJA

O LORENTZU I MAJKOWSKIM Do redaktora „Odrodzenia”

Z wielkim zainteresowaniem przeczytałem w nr 39 „Odrodzenia” artykuł Stanisława Helsztyńskiego „Wiesci z Pomorza Zachodniego”. Jest w nim między innymi wzmianka o wyjątkowo bezstronnym uczonym niemieckim dr Lorentzu, który w dużym stopniu współzł z uczonymi polskimi przyczynił się do utrwalenia w piśmiennictwie nierzeczy kaszubskich i zamarych języków zachodnio-pomorskich.

Dr Lorentz na krótko przed wybuchem wielkiej wojny europejskiej popadł w nielaskę u władz niemieckich i pracował naukowo dla Polskiej Akademii Umiejętności.

Otóż z Lorentzem łączą mnie wspomnienia na tle działalności konspiracyjnej o charakterze oświatowo-niepodległościowym na Pomorzu Kaszubskim sprzed wielkiej wojny w r. 1914. Była to robota w całym tego słowa znaczeniu międzypartijną. Brał w niej udział oprócz piszącego tych kilka słów: inż. Franciszek Bąkowski, docent politechniki, Stanisław Bukowiecki, późniejszy minister sprawiedliwości i prezes prokuratury R. P., Stanisław Libicki, redaktor „Kuriera Codziennego”, dr Antoni Rząd, dyrektor Banku Towarzystwa Spółdzielczego, Stanisław Thugot, redaktor tygodnika „Ziemia” i następnie prezes stronnictwa ludowego „Wyzwolenie”, — z Łodzi adwokat Antoni Żelazowski i Antoni Tujakowski, przemysłowiec Aleksander Hejman-Jarecki, — z Pomorza Kaszubskiego dr Aleksander Majkowski z całą inteligencją kaszubską, zgrupowaną w Związku Młodokaszubskim i redakcji czasopisma „Gryf”. Dr Majkowski, syn kowala z Kościelicy, i lekarz i redaktor „Gryfa”, żywa encyklopedia kaszubska, erudyta w dziedzinach krajoznawczej i ludoznawczej, dotyczącej Pomorza Zachodniego i Zachodniej Słowiańszczyzny, archeolog, lingwista i etnograf, marzący o powrocie Ziemi Kaszubskiej do Polski i odrodzeniu Słowiańszczyzny do Odry i za Odre, — badał wraz z Lorentzem i oddzielnie narzecza kaszubskie, umieszczając je na łamach „Gryfa” w postaci legend, baśni i opowiadań ludowych prozą i poezją.

Lorentz milczało sprzątał naszej pracy organizacyjnej i Łódzki Oddział Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego dość liczną wycieczką do miejsca jego zamieszkania wyraził mu uznanie za pracę. W roku 1911 czy 1912 urodziła się u dr Majkowskiego myśl, by w ślad za uczonym rosyjskim Hilferdingiem odbyć wycieczkę nad jezioro Łeba w poszukiwaniu resztek ludzi, mówiących jeszcze po słoński. Dr Lorentz wyzyskał uprawnienia od niemieckiego ministerstwa oświaty i znalazłszy się wraz z dr Majkowskim nad Łebą polecił wyszukać kogoś mówiącego po słoński. Trwało to dosyć długo, zanim odnaleziono w oddalonej wsi po drugiej stronie jeziora Łebskiego staruszka, od którego wyciągnięto wszystko, co się dało w języku słońskim i umieszczono w tektosie odpowiedniego wydawnictwa Akademii Umiejętności. Nie bez trudności, stawianych przez pastowarów, zajrzano do bibliotek kościelnych, w których znaleziono skarby w języku słońskim. Należałoby je dla uratowania i oddać pod opiekę Akademii Umiejętności.

Z opowiadań staruszka dowiedziano się, że ostatni Słowicy, mówiący po słoński polecili się pochować z księżkami do nabożeństwa z tekstem słońskim. Na zlecenie dr Lorentza otwarto w obecności zandama niemieckiego jeden z grobów słońskich i istotnie w trumnie znaleziono nieszukany modlitewnik słoński. Z okazji tej wycieczki wsi zebrali się na emanturzu duża ilość mieszkańców, którzy nie mogli wyjść z podziwu, po co się zagląda do bibliotek kościelnych i nie daje spokoju umartym i nawet jeden z obecnych zapisał się w tym sensie, na co dr Majkowski odpowiedział uśmiechając się, że „po to się to wszystko robi, ażeby powrócić język słoński do domu, szkoły i kościoła i że tak dalej nie może pozostać, jak jest obecnie, ażeby ludzie zapominali języka swolch dziadów i pradziadów”. — „Es ist richtig was er sagt. Unsere eigentliche Muttersprache ist slovinisch. Sie muss wieder ihre Rechte gewinnen” — odezwał się na to głos z tłumu.

Wiadomość o wyciele Majkowskiego i Lorentza nad Łebą przez długi czas była przedmiotem rozmów w szerokich warstwach wynarodowionego ludu słońskiego.

W związku z powyższymi opisanymi zdarzeniem i w ogóle ze swą działalnością proslowiańską dr Lorentz stracił urzędowe uprawnienia wraz z honorariami ze źródeł niemieckich, popadł w wielką nędzę, z której wywabila go w końcu nasza Akademia Umiejętności.

Czesław Świerczewski (Tarnów)

SPROSTOWANIE Do redaktora „Odrodzenia”

Do mego fragmentu książki o Kolumbie, opublikowanego w nr 40 „Odrodzenia”, wkrađ się bład drukarski. W trzeciej szpalce zamiast: „Czy powierzy się mękom obłudy?”, powinno być: „Czy powierzy się maskom obłudy?”

Tadeusz Pelper (Kraków)

O ZIEMIACH, NA KTÓRE WRACAMY SZLAKIEM KRZYWOUSTEGO OPOWIADA REPORTAŻ ZOFII DRÓŹDŻ I WŁ. MILCZARKA ZAKOCHANI W POMORZU STR. 40 ZŁ. 15 ILUSTR. 37 DONABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

LITERACI NA ZJEŹDZIE

W teatrach krakowskich



HELENA BOGUSZEVSKA



JAROSŁAW IWASZKIEWICZ



JERZY PUTRAMENT



ADAM WAŻYK

Kraków ostatnio dwukrotnie witał aktorów łódzkich, za każdym razem na deskach Teatru Starego...

Zresztą czy naprawdę jesteśmy tacy spragnieni, by w ogóle te sztuki oglądać? Niewątpliwie komedia jest pamiętna...

Teatr Im. J. Słowackiego wystawił „Antygonę” Sofoklesa. Początkowo miało to być widowisko na podwórku wawelski...

Wspaniałość tych pełnych, ważkich i prastarych dzieł sztuki polega na ich zdumiewająco wciąż na nowo trafnym pasowaniu do sytuacji społecznych...

z prawem. A dla nas? Czy ona nie jest symbolem tego, co winno się w każdym człowieku porwać...

Na afiszu znajdujemy informacje: „Sprawa w Tebach siedmiobramnych”. Po co tak od razu ludzi straszyl...

Za to wszystko, co widowisku dał z siebie aktorzy, było znakomite. Kreona, którego rozumiał do głębi...

Tadeusz Breza

TANIEC ANEGDOTYCZNY

Tytuł ten oddaje ściśle właściwości stylu Danuty Kwapiszewskiej, która wystąpiła z recitalem tanecznym w krakowskim teatrze „Grotteska”...

Inaczej jest z tańcem „Robotnica”, w którym koncepcja literacka została przetransponowana w sposób istotnie artystyczny na „widzialność” i nie „opowiedziana” po prostu...

Na wielką pochwałę zasługuje niezwykle muzykalność Kwapiszewskiej, przejawiająca się w każdym jej ruchu...

Upoważnia nas do tego twierdzenia już dziś dość

KONKURS

Zarząd Miejski w Krakowie ogłasza konkurs na stanowiska:

- 1. dyrektora Miejskiego Muzeum Historycznego.
2. dyrektora Miejskiej Biblioteki Publicznej.

Kandydaci na powyższe stanowiska powinni posiadać następujące warunki:

- Ad 1: a) Obywatelstwo polskie, b) ukończone studia uniwersyteckie z zakresu historii, c) działalność naukowa z zakresu historii literatury i dawnej kultury mieszczańskiej, d) praktykę w służbie muzycznej.
Ad 2: a) Obywatelstwo polskie, b) ukończone studia uniwersyteckie (wydział humanistyczny), c) działalność naukowa w zakresie zagadnień związanych z bibliotekarstwem, d) praktykę w którejkolwiek bibliotece naukowej lub egzamin państwowy bibliotekarski I-iej kategorii.

Wynagrodzenie będzie ustalone w drodze umowy.

Podania wraz z życiorysem i opisami dokumentów należy składać w terminie do 10-go października 1945 w Zarządzie Miejskim w Krakowie, Wydział Personalny, pl. WW. Świętych Nr. 3, i p. dr. nr 139.

Kraków, dnia 15 września 1945

Prezydent miasta: w. inż. Tor wr.

znaczną dojrzałość artystyczną, przejawiającą się przede wszystkim w tańcach grotteskowych. Zwywól grotteski zdaje się najbardziej odpowiadać artystycznym możliwościom interesującego talentu Kwapiszewskiej.

Tego samego zdania była też publiczność, oklaskująca szczególnie gorąco grotteskowe tańce „Kot w butach”, „Antek w zalotach” i „Mickey Mouse”.

Władysław Lech

Literatura angielska w czasie wojny

Paryskie „Nouvelles Littéraires” artykułem o literaturze angielskiej, piera Raymonda Las Vergnas, rozpoczęły serię publikacji informujących o losach wielkich literatur europejskich w czasie wojny.

Zdaniem znanego anglisty francuskiego, wojna nie tyle wywarła wpływ na literaturę angielską i jej linię rozwojową, ile na życie społeczne oddalonych od czystej twórczości przez restrykcje natury gospodarczej.

Raymond Las Vergnas wyraża pogląd, iż wojna nie stanowi przełomu w rozwoju literackich kierunków w Anglii. W okresie wojny kontynuowano gusty i tendencje artystyczne sprzed 1939 roku...

Las Vergnas miał w czasie wojny możliwość skonfrontowania ze źródłami angielskimi opinii, jaką nowa proza angielska miała we Francji. Dzieła, które we Francji uchodziły za szczytowe osiągnięcia literackie Anglii, krytyka z drugiej strony La Manche uważała za o wiele mniej cenne niż książki prawie nieziane we Francji.

Wojna mimo powstania przeszkód natury gospodarczej nie zahamowała ilościowej produkcji wydawnictw powieściowych. Ukazywało się wiele, może nawet proporcjonalnie więcej niż przed wojną opowiadań i powieści interesujących fabularnie i artystycznie, których jednak główną cechą jest brak wartości odmładzających ten gatunek literacki.

Essay, gatunek literacki tak bardzo odpowiadający temperamentowi anglosaskiemu pięknie się w czasie wojny rozwijał. Obok starych pisarzy, jak Max Beerbohm, Lytton Strachey, Desmond Mac Carthy, J.-B. Priestley, Rose Macaulay, Beverley Nichols, którzy postawili essay angielski na czele essayu światowego...

Leżąc w łóżku w czasie wojny, zwrócił się do wszystkich w wielkim rozkwicie poezji, rozkwicie, który został zapoczątkowany jeszcze w roku 1935 przez pojawienie się „Opuszczonej ziemi” i „Zbrodni w katedrze” S. Eliota. W poezji odmiennie niż w prozie nie pojawiły się zasadnicze odnowienia tematyki w związku z wojną.

Leżąc w łóżku w czasie wojny, zwrócił się do wszystkich w wielkim rozkwicie poezji, rozkwicie, który został zapoczątkowany jeszcze w roku 1935 przez pojawienie się „Opuszczonej ziemi” i „Zbrodni w katedrze” S. Eliota. W poezji odmiennie niż w prozie nie pojawiły się zasadnicze odnowienia tematyki w związku z wojną.

Rozwój poezji — pisze Raymond Las Vergnas — jest tak zwracający uwagę, że określenie „młody pisarz” oznacza dziś w Anglii młodą poezję. I właśnie w poezji, będącej zawsze laboratorium form sztuki, w wrażliwości ukazanych przez nią uwyraźniają się perspektywy odnowienia literatury angielskiej.